

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr 4 (46)

Jerozolima, 16 lutego 1945 r.

Rok III

ZDZISŁAW BRONCEL

YANKES W KRAINIE CZARÓW

Mocarstwa europejskie hołdują zwyczajowi ogłaszania w krytycznych momentach różnokolorowych ksiąg, mających wykazać trafność, przeczorność i szczerą pokojowość polityki odpowiedniego państwa. Dzięki temu zmobilizowani obywatele dowiadują się, jak wiele zrobiono, by ich nie narażać na kłopoty, związane z wojną, a ostantacyjna zasada jawnej dyplomacji otrzymuje jedną ze spóźnionych, „poteherańskich” satysfakcji.

Stany Zjednoczone są raczej powściągliwe w publikowaniu swych dokumentów dyplomatycznych i dopiero w ostateczności sugerują, kto i kiedy wyszedł z pokoju. Wspomnienia zagranicznych przedstawicieli Ameryki jak „Berlin Diary” ambasadora Dodda, czy wydany ostatnio dziennik J. C. Grew’a, ambasadora w Tokio, „Ten Years in Japan”, wprawdzie zawierają obserwacje i wnioski, które mogły wpłynąć na politykę Stanów, brak im jednak oficjalnego stempla.

Na tym tle dość znamienne wyróżnia się zbiór raportów, przesyłanych Departamentowi Stanu lub bezpośrednio prez. Rooseveltowi przez J. E. Daviesa, reprezentanta Ameryki w Moskwie w latach 1936-39, następnie zaś — podczas kryzysu czeskiego i wybuchu wojny — umieszczonego na doskonałej galerii obserwacyjnej, jaką do chwili najazdu niemieckiego dla spraw europejskich stanowiła Bruksela.

Poufne sprawozdanie Daviesa uzupełnia tekst równie dyskrecjonalnych memoriałów, dających syntezę stosunków sowieckich, oraz liczne zapiski osobiste, wyjątki z podręcznego terminarza, wyciągi z dziennika, gdzie Davies notował obserwacje i rozmowy, oraz wybór prywatnej i oficjalnej korespondencji. Całość pokazuje, co Davies umiał w Rosji zobaczyć i jak o tym informował Roosevelta i Cordell Hulla.

Daty, umieszczane przy poszczególnych dokumentach, wiążą je z bieżącymi wydarzeniami, gwarantując, że nie ma w zbiorze żadnych innych ocen, robionych ex post facto, co z kolei podsuwa sposobność zorientowania się, w jakim stopniu sprawdzały się przewidywania ambasady. Jest to zresztą efekt, przygotowany celowo, aby czytelnik nabrał tym większego zaufania do ostatecznych wniosków, wzmocniony nadto cytatai z pochwały, jaką Prezydent zaszczylił Daviesa po ukończonej misji, mówiącą, że wykazał on „szczęśliwą zdolność oceniania zdarzeń i szczególną dokładność w określaniu prawdopodobnych skutków dalszego ich rozwoju”.

Na koniec osobna uwaga autora podkreśla, że depesze i raporty zostały podane dosłownie. Tu trzeba przyznać, iż powstrzymano się od epatowania czytelnika zapewnianiem, że Davies nie tylko podaje wszystko dosłownie, lecz i — dosłownie w s y s t k o.

Taki materiał złożył się na książkę¹⁾, oddaną do druku w połowie października 1941 r., a więc na dwa miesiące przed japońskim atakiem na Pearl Harbour, w cztery zaś po zamianiu przez Niemcy paktu nieagresji, zawartego z Rosją przed najazdem na Polskę.

Były to miesiące bardzo trudne dla nowej kadencji Roosevelta, rozpoczętej w styczniu 1941 r. Republikanie doznali przegranej stosunkowo nieznacznej i teraz odpłacali ją sobie gwałtowną kampanią izolacjonistyczną. Na wiosnę 1941 r. Instytut Gallupa wykazywał tylko 30% głosów, popierających nowe żądania Roosevelta, kierowane do Kongresu, a ustawy mające dać większą swobodę ruchów w pomocy dla Anglii, przechodziły bardzo skromną większością. Produkcja broni znajdowała się na wprost groteskowym poziomie (np. 61 dział plot w lipcu 1941 r.), jeśli brać pod uwagę potrzeby Ameryki, śmiertelnie zagrożonej Wielkiej Brytanii i świeżo przybyłego klienta — Rosji. W zestawieniu z oświadczeniami Japonii i Niemiec polityka Prezydenta narażała Stany na wojnę, a izolacjoniści mieli wiele pozornej racji, oskarżając Roosevelta o grożące konfliktom wywołanie broni z nieuzbrojonych Stanów.

W podobnej sytuacji wybór dokumentów dyplomatycznych nie mógł ukazać się przypadkowo, nie mówiąc już o tym, iż sam Davies po powrocie z ambasady w Brukseli był urzędnikiem Departamentu Stanu, pełniąc

¹⁾ Joseph E. Davies: *Mission to Moscow*, Garden City Publ. Co. — Garden City, New-York — Seria: Star Books. Str. 330.

funkcje „special assistant” do spraw politycznych, związanych z wojną w Europie.

Dla ujawnienia korespondencji potrzebne było zezwolenie Prezydenta, poglądy zaś wypowiedziane przez Daviesa wolno było prasie przypisać całemu Departamentowi. Toteż „Mission to Moscow” wymagała nie tylko aprobaty, ale i inspirowania.

Zadanie książki polegało na oczyszczeniu Sowietów z najbardziej znanych zarzutów i poprawieniu atmosfery dla pełnego zastosowania wobec Rosji aktu Lend-Lease. Osobliwe oświadczenie popularnego p.k. Lindbergha, że z dwójką ziego woli w Europie widzieć nazizm niż komunizm, żądało odpowiedzi, i to odpowiedzi udokumentowanej. Doskonale do tego nadał się zbiór raportów dyplomatycznych: — czytelnik miał wrażenie, że uchyla tajemniczej zasłony, odsłania istotną prawdę, dotychczas dostępną tylko dla wybranych.

Oczywiście, odpowiedzią najdosadniejszą na kampanię Republikanów byłby atak Niemców na Stany, lub Rosji na Japonię. Lecz właśnie Hitler zaczął wycofywać się z poprzednich pogroźek, Rosja podpisała na wiosnę traktat z Japonią, nikt zaś nie mógł przewidzieć — w chwili, gdy Davies pisał — że bomby japońskie na Pearl Harbour, Oahu, Manillę i wyspę Wake spadną tak zdradziecko i szybko.

Miedzy Japonią a Rosją

Zarówno w Japonii, jak i w Stanach, działy wpływowo koła finansowe, usiłujące skleić porozumienie na Pacyfiku i izolować obydwie państwa od konfliktu europejskiego. Owcześnie premier japoński, książę Konoye, starał się poprzez ambasady w Londynie przesunąć pewien projekt porozumienia. Ale Konoye był sabotowany przez własnego ministra spraw zagranicznych, Matsuokę, któremu roilo się japońskie führerostwo, i gdy Chińczycy zadali Japończykom dotkliwą porażkę w prowincji Hounan, wzmógł się nauczyciel nacjonalistycznych wywrotów rząd, torując drogę do władzy gen. Toyo i kaście wojskowej.

Nawet jednak i Toyo unika otwartego konfliktu, prowadząc manewry, które pozwoliłyby odpowiedzialność za wybuch wojny zrzucić na Amerykę. Specjalny wysłannik, Kurusu, wyjechał do Waszyngtonu i jeszcze 7 grudnia 1941 r. wraz z adm. Nomura ceremonialnie wręcza nową pojednawczą notę, choć równocześnie lotnictwo japońskie bombarduje gwiazdzystą flotę w bazach w Pearl Harbour i Oahu.

Ostatnie fazy pertraktacji amerykańsko-japońskich odbywały się na tle coraz bardziej rosnących ułatwień dla przewozu broni przez Atlantyk. Konwojowanie transportów i rozkaz strzelania do okrętów niemieckich, które by naruszyły „obronność wód półkuli zachodniej”, nieustannie groziły wybuchem konfliktu. Japonia zaś zaznaczyła, że wejście Stanów w wojnę europejską stanowi dla niej casus belli na Pacyfiku.

Dołączenie się Sowietów do antyhitlerowskiego frontu paradoksalnie skomplikowało sytuację, dając Niemcom szansę sprowokowania wojny o Pacyfik przez zaatakowanie jakiegokolwiek amerykańskiego statku, wiozącego Atlantykem towar dla Rosji. Dla tejże Rosji, która układem z 13 kwietnia 1941 r. zamknęła Japonii niebezpiecznie otwarte „drzwi za plecami”, podobnie jak to zrobiła dla Niemiec analogicznym paktem z sierpnia 1939 roku.

Izolacjoniści nie omieszkali z tego skorzystać, co było tym łatwiejsze, że niechęć dla sowieckiego reżimu przesłaniała trzeźwą ocenę rosyjskich możliwości. Prezydenta, domagającego się od Kongresu ciągle nowych zmian w billu o neutralności, obciążano w opinii niepopularną współpracą z Rosją.

Tymczasem we wrześniu A. Harriman uczestniczył w konferencji moskiewskiej, gdzie z Mołotowem i lordem Beaverbrookiem ustalał anglosaską pomoc żywnościową i przemysłową dla Sowietów. Wkrótce potem, w końcu października, rozmawia ze Stalinem osobisty wysłannik Roosevelta, Hopkins.

Ford i General Electric Co. — Schenectady, od lat robią z Rosją świetne interesy, inżynierowie amerykańscy realizują wielkie odcińki planu pięcioletniego, eksport lotniczej benzyny kalifornijskiej wzrasta sześciokrot-

nie, statki z sowieckim złotem płyną do Stanów, nie zmienia to jednak rezerwy opinii publicznej, zwłaszcza zaś kół, kładących nacisk na tolerancję religijną lub instytucje sądu przysięgłych. Stwarza także trudności osoba amb. Umańskiego, dawnego szefa wydziału prasowego Narkomindielu, który pełnił swe obowiązki dyplomatyczne w Waszyngtonie w niezręcznym dla Rosji okresie układu z Niemcami. Prasa zaś republikańska korzysta ze sposobności, by przypominać głośny incydent z „City of Flint”.

Na koniec wiedzą wszyscy, że na układ sowiecko-japoński z roku 1941 wpływał Berlin, tłumacząc Matsuokę, iż należy zabezpieczyć się od strony Rosji, Anglię zaatakować, póki nowe pancerniki klasy „Jerzy V” nie wejdą do linii, wobec zaś Stanów nie czekać, aż 128 lekkich i jeden średni tank amerykański zamienią się w tysiące ciężkich i produkcja samolotów wzrośnie z 60 na miesiąc do zawrotnych cyfr²⁾.

Kapitalistyczny przyjaciel

Polityka Roosevelta szła wśród ciągłych oporów opinii. Decydujące poprawki do billu o neutralności zdobyły w Senacie większość zaledwie 18 głosów, a Instytut Gallupa na dwa miesiące przed wybuchem wojny miał tylko 54% głosów za świeżym zamiarem Prezydenta wysyłania statków amerykańskich do portów, objętych działaniami wojennymi.

Książka Daviesa była więc bardzo potrzebna. Daty końcowych notatek, termin rozpoczęcia druku, data ukazania się na rynku, — wszystko wskazuje na jej pośpieszne przygotowanie po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej.

Do napisania takiej książki Davies miał szczególne kwalifikacje. Obowiązki ambasadora w Moskwie pełnił formalnie od 16 listopada 1936, faktycznie zaś od 19 stycznia 1937, aż do 7 czerwca 1938, w Brukseli zaś pozostawał do stycznia r. 1940. Przyjrzał się więc Rosji w okresie jej przygotowań wojennych, a zarazem w momencie wielkich procesów politycznych, zakończenia drugiej pięcioletki i próby przekształcenia ustroju przez ogłoszenie t. zw. konstytucji stalinowskiej. Następnie patrzył z Brukseli na upadek Czech, wybuch wojny i rozbiór Polski. Na terenie amerykańskim był znany jako przewodniczący Federal Trade Commission (1915) za czasów Wilsona, jeden z przyjaciół p.k. House’a, businessman dużej klasy, znawca organizacji przemysłu i handlu, autor dwutomowego podstawowego dzieła o przemysle stalowym Ameryki. Ów człowiek o zdecydowanym poglądzie kapitalistycznym, o usposobieniu liberalnym, a przy tym sympatyzujący z amerykańskimi ruchami religijnymi, idealnie nadawał się do swej roli. Był poza wszelkim podejrzeniem. Spód jego właśnie pióra mogła wyjść budząca zaufanie amerykańskiego czytelnika sui generis apologia Sowietów, wydobycie momentów idealistycznych z ich działań, usprawiedliwienie układu z Niemcami, zrzućenie winy za niedojście do porozumienia na „reakcyjne” (sam Davies już tak się wyraża) koła Anglii i Polski.

Książka w każdym domu

Atak japoński sprawił niespodziankę autorowi „Mission to Moscow” i jego inspiratorowi. Współpraca gospodarcza i militarna z Sowietami stała się koniecznością, nie wymagającą już przekonywania opinii.

Dla „Mission to Moscow” powstała wtórna koniunktura, wzmocniona jeszcze powszechnym zainteresowaniem, jakie w naturalny sposób wywoływał rosyjski kolos, wynurzający się z mgieł dwudziestoparoletniej izolacji i tajemnicy.

W ślad za pierwszym wydaniem z r. 1941 rok 1942 przynosi wydanie drugie, uzupełnione wyjaśnieniami strategii rosyjskiej, celowości odwrotu Czerwonej Armii i zaopatrzone epilogiem poświęconym podkreśleniu rocznej walki Sowietów z Hitlerem. Do roku 1943 ukazuje się łącznie 13 wydań, a równocześnie popularne przebiegiem wydawania best sellerów w granicach ceny dwudolarowej, „Garden City”, publikuje je w serii książek, które „powinny być w każdym domu”. Wreszcie tanie wydawnictwo „Pocket Book” na-

²⁾ *Nation* z 30 sierpnia 1941 r.

W numerze:

Wśród książek. S. H. Dominik: Powieść Somerset Maughama. — K. Grzybowski: Krzywa rozroczności a przyszłość Europy. I. Piramida życia. — A. Kieleczyński: Bułgarskie sfery kierownicze. — W. Weintraub: Charles Maurras. — T. Sowiński: Dziennik pokładowy. Wiatr. Pasażer. *** Betelgeuse. Trzy róże. — Porucznik Herbert: Flying control. — W. Broniewski: Ja i wiersze. — M. Kuncewiczowa: Zmowa nieobecnych Cz. II. — M. Brzeska: Prawdziwy kurier. — W. Jaworski: Ruth. — Scrutator: Polonica w książkach angielskich. — S. H. Dominik: Opinie angielskie. — ww.: Z prasy francuskiej. — ww.: ***.

bywa prawo do książki Daviesa i ogłasza ją w masowym nakładzie (7 wydań), w klasie takich książek, jak „One World” Willkinea, czy „U. S. Foreign Policy” Lippmanna. Szczupłe, gęsto zadrutowane tomiki wędrują na wszystkie fronty, gdzie w kantynach żołnierzy może je nabyć po groszowej cenie³⁾.

Na koniec film. „Mission to Moscow” zrealizowana przez Warner Bros., pod nadzorem Daviesa⁴⁾, jest jedynym tego rodzaju posunięciem propagandowym po stronie Anglosasów. Film, będący jako temat i forma, nowością w kinematografii, zyskał ogromne powodzenie swą próbą zastąpienia politycznego artykułu — kinowym ekranem. 21 wydań, 100 milionów widzów kinowych w Ameryce, 20 milionów w Anglii — wszystko to daje miarę oddziaływania tej osobliwej książki. „Mission to Moscow” jest wprost pokazem, w jaki sposób, w jakim kierunku kształtuje się dziś sposób myślenia Amerykanina o sprawach Europy. Pod tym względem i książka i film, wciąż jeszcze oglądany (obecnie już w Europie) — zachowują pełną aktualność.

II

19 stycznia 1937 r. Davies rozpoczynał w Moskwie swoją misję.

Rozpoczynał w warunkach wszechstronnie trudnych. Rząd sowiecki został uznany przez Stany Zjednoczone w końcu 1933 r. na mocy układu, zawartego przez Litwinowa podczas jego wizyty w Waszyngtonie. Ta sama umowa przewidywała, że Sowiety niezwłocznie rozpoczną spłatę pożyczek, zaciągniętych w Stanach u prywatnych instytucji finansowych za rządów Kiereńskiego i powstałych w tym czasie zobowiązań rosyjskich wobec skarbu federalnego. W praktyce na wiązanych stosunków ten właśnie punkt zaczął sprawiać trudności i jednym z zadań Daviesa miało być wyświeślenie sprawy. W wewnętrznej znowu sytuacji rosyjskiej dominowały wydarzenia tak doniosłe, jak uchwalenie nowej konstytucji, końcowy wysiłek drugiej piatiletki i liczne procesy przeciw „trockistowsko-japońsko-niemieckiemu” spiskowi.

Kropka nad „i”

Położenie międzynarodowe weszło w r. 1936 w fazę dramatyczną. Na początku owego roku francuski minister spraw zagranicznych oświadczył, że nie znieśnie, by Strassburg znalazł się w zasięgu działań niemieckich, a 7 marca Hitler przekreślił traktat wersalski remilitaryzując Nadrenię. Brak reakcji ze strony Zachodu wykazał siłą słabość Francji i niechęć Anglii do obrony Wersalu. Pierwszy szantaż udał się i Niemcy szły ku następny.

Podobnym symbolem przegranej w polityce wobec Włoch była ucieczka Negusa z Abisynii (2 maja) i oświadczenie Edena (18 czerwca) o zamierzonym zrezygnowaniu z sankcji. Ale na metodę appeasementu na morzu Śródziemnym było już za późno. Włochy zbliżyły się do Niemiec i Duce dopuszcza do układu niemiecko-austriackiego, stwierdzającego, iż Austria „jest krajem niemieckim” (1 lipca).

Wojna domowa w Hiszpanii, wybuchająca 17 lipca, szybko pogłębiała przedział między Anglią, Francją a Włochami, tym bardziej, że na skutek zmienionej taktyki komunistów, we Francji dochodzi do władzy Front Ludowy. Blum zostaje premierem, socjalista Vincent Auriol — ministrem skarbu, i niezręcznie przeprowadzane reformy szybko stawiają Francję wobec katastrofy finansowej. W konsekwencji lotnictwo kureczy się, nie ma mowy o unowocześnieniu armii, w niespełna rok później nie starczy pieniędzy na demonstrację wojskową w momencie Anschlussu, tak jak już teraz brak ich na przeciwstawienie się wejściu wojsk hitlerowskich do Nadrenii.

1 listopada 1936 r. zostaje postawiona

³⁾ Poniżej szylinga.

⁴⁾ „Mr. Davies was a daily visitor to the set. The scripts, the players, the staging of each of the multi-udious scenes — everything passed under his scrutiny and bore his approval before it has allowed a place on the picture”, — oświadczenia Warner Bros.

Dodajmy do tego, że rząd amerykański ma w Hollywood swego stałego przedstawiciela.

W Anglii cenzor namyślał się dwa tygodnie, zanim zezwolił na wyświetlanie filmu, a Warner Bros szukał bardzo wysokiego autorytetu dla poparcia wprowadzenia obrazu na angielski rynek.

kropka nad „i“. Mussolini w wielkiej mowie w Mediolanie atakując demokrację Zachodu, po raz pierwszy używając terminu „os“. Zbliża się wojna: dwuznaczna rolę grają Włochy, Francja ogłasza się na Anglię, zastanawia się nad kosztami zbrojeń i patrzy z niepokojem na Niemcy i Rosję, jedynie dwa państwa, które zbroją się konsekwentnie, przygotowując przemysł do wojny.

Niemcy w okresie 1934-1939 wydały 37 miliardów dolarów na zbrojenia, Reynaud naprosto będzie alarmować (25 stycznia 1937 r.), że Francja ma tylko 1300 samolotów wobec 2000 niemieckich i 1900 włoskich i nieliczne czołgi w porównaniu z tysiącami niemieckimi. W momencie kryzysu czeskiego Hitler przypomni, że Niemcy posiadają samolotów więcej niż Anglia, Francja i Czechy razem.

Tymczasem Rosja od przełomu lat 36/37 konsekwentnie przygotowuje się na dwóch frontach: na Dalekim Wschodzie i na froncie europejskim. W r. 1937 Sowiety wydają na zbrojenia 25 miliardów rubli, co równa się 2 i pół miliardów dolarów w złocie. Na początku tegoż roku parlament francuski uchwala trzyletni program zbrojeniowy z sumą 14 miliardów franków (700 milionów dolarów) — Rosja zamierza w ciągu roku 1938 wydać w złocie na przygotowania wojenne dziesięć razy więcej niż Francja.

Armia Czerwona

Granic bronią dwie samodzielne armie stałe. Armia Dalekiego Wschodu jest samowystarczalna i posiada zapasy na dwa lata. Niezależnie od tego organizuje się w okręgu Wołgi armia specjalna, w sile pół miliona ludzi, nietykalna w pierwszym okresie działań, przygotowana do osłony Kujbyszewa w razie ewentualnego upadku Moskwy (nawet z tym się liczone!). Coroczny pobór daje szeregiem 1.200.000 ludzi, a poza tym już od r. 1936 ćwiczone są intensywnie oddziały „strzelców proletariatu“, coś w rodzaju Home Guard, przygotowywane do pozostania na tyłach nieprzyjaciela i prowadzenia walki partyzanckiej. Książka, teatr, malarstwo apoteozują typ bohatera narodowego partyzanta. W ślad za tym idzie odpowiednio planowanie przemysłowe. Np. okręg Leningradu, mimo swych zalet komunikacji morskiej, w przewidywaniu zagrożenia skupia tylko przemysły drugorzędne.

Już w r. 1937 rozpoczęto przenoszenie fabryk za Ural, mimo że i bez tego Magnitogorsk, wielkie centrum stalowe, przerabiał rudy na wykończoną stal wysokogatunkową. Czeliabińsk dawał rocznie 35 tys. traktorów, Swierdłowski produkował maszyny i amunicję, po stronie europejskiej — Ufa wypuszczała rocznie 10 tys. motorów, Peczora rozwijała fabryki, korzystające z licencji Wright Cyclone Motors. Inżynierowie amerykańscy i amerykański kapitał mieli w tym wielki udział, zwłaszcza przemysł elektryczny Stanów robił z Rosją rozległe interesy.

Ambicją rosyjską było, aby fabryki zaurskie mogły wyprodukować i powielić wszystko, cokolwiek wyjdzie z fabryk Kruppa. W końcu lata i na początku jesieni 1937 r. większość fabryk ciężkiego przemysłu przeszła pod bezpośrednią kontrolę wojska, a fabryki, pracujące na potrzeby wewnętrzne (np. produkcja traktorów), poczęły produkować materiał, związany z wojną.

Taka była reakcja Sowieców na Nadrenię i postawę Zachodu. Oczywiście poszło to w poprzek drugiego planu pięcioletniego, wpłynęło na niewypełnienie norm produkcji, przewidzianych na r. 1937, raz jeszcze zahamowało wytwarzanie dóbr konsumpcyjnych, oczekiwanych przez ludność wyczerpaną wysiłkiem wznoszenia ciężkiego przemysłu. Liczne aresztowania osób, oskarżanych o szpiegostwo na rzecz Niemiec, unaoczniały społeczeństwu konieczność dalszych poświęceń i rezygnacji z lepszego poziomu życia na rzecz zbrojeń.

Wywiad Daviesa

Prez. Roosevelt zapewne doceniał następujące czynniki położenia międzynarodowego:

- 1) nadchodząca wojna będzie walką maszyn, wynalazczości i przemysłu,
- 2) na Zachodzie tylko Niemcy przygotowują się konsekwentnie,
- 3) Rosja Sowiecka jest jednym z najpoważniejszych elementów sytuacji, o ile jej liczna armia posiada odpowiednie zaplecze przemysłowe, reżim zwyciężył opozycję, a wojna i pierwsze sukcesy wroga nie wywołały w masach nastrojów kontrrewolucyjnych,
- 4) jeżeli te warunki są spełnione, Sowiety reprezentują siłę, której decyzja albo powstrzymanie, albo popchnięcie Niemcy do wojny,
- 5) klucz sytuacji leży więc w doprowadzeniu do porozumienia demokracji zachodnich ze Związkiem Sowieckim, będącego jedyną pożądaną ewentualnością, skoro Zachód nie przygotowuje sam dostatecznej siły zbrojnej i przemysłowej.

Kwestie rozrachunków finansowych z Rosją były drugorzędne, jak to wyraźnie stwierdza wstępna instrukcja Roosevelta dla ambasady w Moskwie.

Davies wyjechał więc w istocie rzeczy dla dania Rooseveltovi informacji o czynnikach siły i słabości, zawartych w wewnętrznej sytuacji Sowieców.

Podczas swego pobytu w Rosji Davies zwiedza główne okręgi przemysłowe i rolne, poznaje statystykę produkcji, przygląda się codziennemu życiu Moskwy, jest świadkiem trzech wielkich procesów i wprowadzenia nowej konstytucji. Tymczasem na arenie międzynarodowej wśród beśsiłności Francji zamyka się kryzys austriacki i rozpoczyna czeski.

Potencjalna Ameryka

Zetknął się Davies w Sowieciech przede wszystkim z ogromną skalą, jaką przybiera tu każde zjawisko. Oto obszar Związku stanowi

jedną szóstą powierzchni ziemi, wielkość terytorium przewyższa dwa i pół razy Stany Zjednoczone wraz z ich wszystkimi posiadłościami i bliżej jest z Władystokiem do Portlandu w stanie Maine, niż do Moskwy. Spis oficjalny z r. 1933 ocenia ludność na 156 milionów, — liczba krytykowana przez jednych, przez drugich uważana za zbyt niską dla r. 1939, — w każdym razie jest to 30% ponad ludność Stanów i stanowi 8, 29% mieszkańców globu.

Bogactwa naturalne zapewniają krajowi samowystarczalność w zakresie węgla, żelaza, ropy, manganu, chromu, w 90% pokrywają zapotrzebowanie siarki i pirytów, w 85% — w fosforach, w 80% — w rtęci, w 60% — w cynku¹⁾.

W dwa lata po misji Daviesa Stalin oświadczył w swej mowie, iż Sowiety posiadają najbogatsze na świecie zapasy mineralne żelaza, ropy, manganu i soli, drugie zaś co do wielkości zapasy węgla. Produkcja złota, — źródła sowieckie określają ją jako drugą w świecie, — może sięgać nawet do 400 milionów dolarów rocznie²⁾, wpływając na bilans handlowy, który został zrównoważony w r. 1935.

Ów olbrzymi kraj o równie olbrzymich zasobach jest w okresie młodzieńczym, czekającym na inwestycje i zaludnienie, którego gęstość nie przekracza 12,5 na milę kw. Gdyby ludność całego świata wywieźć przymusowo do Związku Sowieckiego jeszcze te płaskie pustynie nie osiągnęłyby gęstości zaludnienia przemysłowych Niemiec (363 na milę kw.); gdyby rozmiar takiej gigantycznej zyski pomnożyć w czwórnasób, jeszcze gęstość zaludnienia nie dorównałaby Wyspom Brytyjskim. Toteż Rosja powinna być głodna nie ziemi, lecz ludzi i maszyn.

Era Meidzi

Sowiety potrzebują maszyn. Tylko przemysł obudzi uśpią potęgę i podniesie poziom życia, co z jednej strony wzmoże przyrost naturalny, tak tam potrzebny (zahamowanie katastrofalnej śmiertelności niemowląt), z drugiej zaś będzie mogło potwierdzić słuszność socjalistycznego eksperymentu.

Poprzez uprzemysłowanie do socjalistycznego państwa, do dania światu dowodów powodzenia socjalistycznego eksperymentu. Rosja wchodzi na plan pierwszy, świat — w ideologii stalinizmu — schodzi na drugi.

Ta kwintesencja w edycji sprzed roku 1939 stopniowo zwycięża w partii i w praktyce życia społecznego Związku. Stalin daje Sowieciom pierwszy zrównoważony budżet, w r. 1927 przeprowadza usunięcie Trockiego z Centralnego Komitetu Partii, a następnie wygnanie za Ural; ogłoszona równocześnie pięcioletka przechodzi przez kryzys lat 1930-1933, kolektywizuje rolnictwo, by w końcu położyć podwaliny pod ciężki przemysł.

Drugi plan pięcioletni (1932-1937) opowiada sytuację transportową, tworzy podstawowe przemysły, wprowadza motoryzację, mechanizuje rolnictwo i ustala pewien skromny, lecz zapewniający poziom życia. Na przełomie drugiej i trzeciej pięcioletki ulega wyciępieniu opozycja, licząca na załamanie planu przemysłowego. Rozstrzelanie generałów

¹⁾ Brooks Emeny: The strategy of Row Materials. Publ.: Bureau of Interior Research of Harvard University and Radcliffe College.

²⁾ Według New-York World Almanac, 1938.

Wśród książek

Powieść Somerseta Maughama

The Razor's Edge, A Novel by W. Somerset Maugham. Londyn, Heinemann, 1944. Str. 284.

Dawno nie czytałem tak słabej powieści z większą przyjemnością. Powyższe dwa stwierdzenia wymagają jednak komentarza. Dlaczego jest ta książka słaba? Czym się podobna? I wreszcie, jak wytłumaczyć kontrast: zarzut słabości i największą pochwałę, jaką dla pisarza stanowić powinno zadowolenie czytelnika.

Powieść jest słaba, bo jest bezbłędnie zbudowana. A skoro powieść odzwierciedla ma człowieka, — jego czyny, myśli czy sztukę, — nie może być doskonała i logicznie zbudowana, bo staje się przez to nienaturalna. Nie ma luki w strukturze „The Razor's Edge“. Każda postać jest bezbłędnie dopasowana. Nie ma szczegółu, który by gdzieś potem nie okazał się konieczny. Sophie Macdonald, która tak ważną rolę odegra przy końcu powieści, spotykamy na jednej z pierwszych stron jako postać trzeciorzędna, sąsiadkę autora przy stole. Takich szczegółów jest wiele. W powieści detektywistycznej bawiłaby nas taka doskonałość schematu, ale w powieści tout court wydaje się ona sztuczna. Gdy odkrywamy tricki doskonałego rzemiosła pisarskiego, uświadamiamy sobie, że w życiu nie się tak składnie nie dzieje i stajemy się podejrzliwi i nieufni wobec prawdy filozoficznej, jaką autor chce nam objawić.

Słaba jest ta powieść również przez nadmiar niezwykłych charakterów. To znowu potęgę wrażeń sztuczności. Elliot Templeton byłby na ile zwykłych ludzi sam w sobie charakterem i tematem dla powieści. Tak samo Larry, tak samo Sophie Macdonald, tak samo Isabel i Kosti, i Suzanna, i niemal każda drugorzędna postać powieści Maughama. Nie ma w życiu (a zatem, mutatis mutandis, także w powieści) takiego nagromadzenia także w powieści) takiego jak tu nagromadzenia niezwykłości, przygód i dziwactw.

Powieść czyta się jednak z przyjemnością. Po pierwsze właśnie z powodu jej błędów. Kunszt autora zwalnia nas od trudu myślenia.

usuwa z armii elementy „korsykańskie“, niezadowolone z ingerencji partii w sprawy wojskowe i z czystki w przemysle. Reżim nie ma już więcej zorganizowanej opozycji, — masy są raczej biernie.

To stwarza warunki dalszego rozwoju. Jeśli nie wybuchnie rewolucja, jeśli nie wybuchnie wojna, okres 10 lat może przynieść wyuczulany dobrobyt — opiniuje Davies. Z warunkami naturalnymi Sowieców może zmierzyć się, lecz nie dorównać, jedynie Imperium Brytyjskie i Ameryka³⁾. Natomiast ziemi sowieckiej, dotkniętej magiczną różdżką techniki, wolno sięgnąć po pierwsze miejsce.

Davies nadto dodaje: Sowiety potrzebują niemieckiej organizacji i wynalazczości, Niemcy — sowieckiego terenu, surowców i rąk roboczych. Połączenie tych dwu potęg stworzyłoby blok w pełni samowystarczalny i na pewno niepokonany.

Wpływ przemysłu na rolę Rosji w świecie da się chyba porównać z erą Meidzi w Japonii. Maszyna wprowadziła Japonię w dzieje świata, maszyna nadaje Sowieciom rozpad, którego granice trudno przewidzieć. Davies w swych badaniach produkcji sowieckiej stwierdza jej braki. Procent zniszczeń wynosi piątą część, przeciętna fabryka, amerykańska o systemie taśmowym pracuje dwa razy szybciej (!) niż sowiecka, lecz wszystko to maleje wobec łatwości, taniości siły roboczej i bogactwa surowcowego. Pokażny procent strat „is lost in the size of the picture“, — ginie w wielkiej skali całości.

Jest jednak pewna słaba strona. W fabrykach pracuje 25% kobiet, reszta zaś — to mężczyźni, przeważnie młodzi. 80% robotników liczy poniżej 30 lat, kierownicy są przeciętnie w wieku lat 35 — 40. Jest to więc pokolenie, wyrosłe w rewolucji, pokolenie, któremu powszechna nauka i rozmach uprzemysłowienia otwiera nowe możliwości, ale zarazem wobec przetrzebienia wojnami i nędzą pokolenia starszego, na barki młodych spadnie kiedyś ciężar i walki na froncie i pracy w przemyśle.

W wypadku wojny musi to zahamować rozwój Związku na lata, w razie poważnych strat — może wywołać kryzys przemysłowy.

Wyciągnąć stąd można taki wniosek: Sowiety muszą unikać wojny, bowiem w razie walki będą musiały ustąpić ze swej izolacji na rzecz współpracy z bardziej uprzemysłowionym światem kapitalistycznym. Davies swój sąd formułuje bardziej kraciowo: szczerza pokojowość Rosji, uwarunkowana jej potrzebami wewnętrznymi, będzie starała się zapobiec wszelkiej wojnie w Europie. Wniosek obserwatora, przeceniającego technokrację, urasta do dogmatu, stawiającego Rosję w latach 1937-39 w szeregu państw bezwzględnie pokojowych, co z kolei będzie Daviesowi tłumaczyć pakt z Niemcami pod warunkiem obciążenia winą państw zachodnich i Polski.

„Tygrys skosztował krwi“

W r. 1935 produkcja przemysłowa wzrosła o 40% ponad r. 1934, w r. 1936 — o 26% ponad 1935, na rok 1937 plan przewiduje 28% wzrostu w porównaniu z rokiem poprzednim. Szybko staje się widoczne, że tempo jest nie do utrzymania, — prasa uderza na alarm, rząd wskazuje ludowi winnych: spi-

³⁾ Davies wcześniej dojrzał ekonomiczne podłoże „Wielkiej Trójki“.

skowcy trockistowsko-niemiecko-japońscy. Tym niemniej przemysł samochodowy w roku 1937 daje 200,000 wozów, motoryzacja i oszczędności na cele wojenne zmniejszają eksport ropy kaukaskiej z górą trzykrotnie na przestrzeni lat 1932—37 (druga pięcioletka) przy trwającym wciąż wzroście produkcji.

„W pięć-sześć lat — pisze Davies — Związek Sowiecki usiłuje dokonać tego, co w Stanach Zjednoczonych zabrało czas kilku pokoleń“. — „To, co zrobiono tutaj w zakresie uprzemysłowienia, jest niezwykle zarówno pod względem koncepcji, jak i wykonania“.

Tak, jeden z najbardziej zacofanych obszarów Europy i Azji spotkał się, jak z objawieniem, z możliwością nowego życia, — życia wśród wytworów przemysłowych. Odezwała się pierwotna chciwość człowieka prymitywnego i nasycała wiarą wielki sowiecki mit o lepszej przyszłości materialnej. Wiedza i kapitał wskazywały ludności sowieckiej, co można uczynić z bogactwami jej ojczyzny. Gdy bowiem idzie o bogactwa ziemi, pełną rację ma znana pieśń sowiecka — „nie znam takiej drugiej krainy“.

„Nothing can stop Russia“ — formułuje Davies swą konkluzję. Bez względu na reżim, bez względu na to, czy rządzi Trocki, Tuchaczewski, czy Stalin, będzie wzrastał polityczny i ekonomiczny znaczenie Rosji na terenie międzynarodowym. Rozpamiętano ambicję młodości i z chwilą gdy raz dano jej książkę do ręki, gdy dopuszczono ją do szkół, fabryk i życia miejskiego — „tiger has tasted the blood“, — „tygrys skosztował krwi“. Rozwój przemysłowy republik sowieckich jest już nadal procesem niemal automatycznym.

Nowy, wspaniały świat?

Tu istotnym zagadnieniem staje się, jaka będzie owa nowa rodzaca się Rosja. Davies, przeciwstawiając komunizm — hitleryzmowi, doszukuje się w nim pierwiastków demokratycznych. Amerykańskiego czytelnika przekonają ma przeplatane notatki o prześladowaniu religii w Niemczech z dowodami tolerancji Sowieców. Należą do nich fakty takie, jak pogrzebanie żony Stalina na klasztornej cmentarzu, zezwolenie na obrządki religijne obywateli Stanów Zjednoczonych na terenie Związku Sowieckiego, oraz 124-y artykuł konstytucji stalinowskiej, przyrzekający swobodę kultów i propagandy antyreligijnej.

W państwach kapitalistycznych religia chroniona jest przed zniewagą — w Sowieciech bezbożnikom wolno ośmieszać dogmaty. Ten drażliwy punkt porusza zanotowana w książce rozmowa pani Davies z żoną komisarza Krestinśkiego. Pani Krestinśka tłumaczy, że rozdział kościoła od państwa zapobiega nadużywaniu religii dla celów antyrewolucyjnych, akcja zaś bezbożników spełnia rolę balansu dla wpływów kleru. Tym razem jednak Davies nie dodaje, że wolność religijna „jest czysto akademicka“, jak już wyraził się, oceniając prawo republik do opuszczenia Związku.

Nowy ambasador Stanów przyjechał do Moskwy dosłownie w momencie uchwalania konstytucji z r. 1937. Zdążył jeszcze asystować przy końcowym głosowaniu. W swych wspomnieniach podkreśla malowniczość obrzędu, oraz wprowadzenie równych praw wyborczych dla chłopów i robotników — symbol „zakochania rewolucji“ i zniesienia przedziału klasowego. Nie zainteresowała go ani ordynacja wyborcza, nie dopuszczająca innych kandydatów poza kandydatami partii, ani też jedynomyślność „Wierchownowo Sowietu“, nie tak częsta w parlamentach europejskich.

W ocenie ustroju sowieckiego sciera się w książce Daviesa kilka sprzecznych opinii. Z jednej strony stara się totalizmowi niemieckiemu przeciwstawić sowieckie ustawy o demokratycznych założeniach, obozom koncentracyjnym — „sowiecki przywilej pracy“ dla więźniów politycznych, z drugiej strony określa całość reżimu jako kapitalizm państwowy z silnymi skłonnościami totalistycznymi, rządzący społeczeństwem o nowym podziale klasowym. Warstwa wyższych urzędników nie miała wprawdzie możliwości bogacenia się, lecz państwo zapewniało jej dostatek, wygodny poziom życia w rezydencjach na Kremlu, podmoskiewskich „dachach“ czy w Moskwie.

Osobną warstwę stanowią — według oceny Daviesa — oficerowie, świadomi swych kwalifikacji i wyższości, oraz funkcjonariusze policji politycznej. Wśród robotników — w stachanowcach widzi Davies zaródk świeżego podziału klasowego, choć oficjalna doktryna tłumaczy, że nie ma klas, gdy dochód zabiera państwo zamiast prywatnego kapitalisty.

Codzienna praktyka ulegała dalekim odchyleniom od zasad komunistycznych. System norm i akordów wprowadza motyw zysku, państwowe pożyczki i kasy oszczędnościowe posługują się wykłętym procentem — zyskiem od kapitału — „zamrożonej pracy“; fabryki również pracują na zasadzie zysków dla przedsiębiorstwa, sięgających czasem aż 30%, a ideał równych zarobków jest „odchylem“ niebezpiecznym dla życia wyznawcy.

Tak więc — raczej odmiana kapitalistycznego systemu z dawną materialną pobudką do pracy, niż nowy, wspaniały świat.

Krańcowy etatyzm sprzyja planizmowi, krańcowy planizm — ułatwia szybkie budowanie przemysłu. Przemysł ma w przyszłości zaspokoić liczne potrzeby ludzkiej siły roboczej, narazie jednak zostają one podporządkowane wymaganiom jego rozwoju. Oto jest państwomoloch, cel materialnego dobrobytu podniesiony do godności najwyższego zadania ludzkiej zbiorowości; bóstwo na rydwanie, ciągniętym ku przyszłości w pocie czoła wyznawców.

Zdzisław Broncel

W następnym numerze ukaze się druga część artykułu p. t. „Kategorie myślenia“.

H. S. Dominiak

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

Krzywa rozrodczości a przyszłość Europy

Wieczny spór toczy się między tymi, którzy wierzą, że kształtują świat, prowadząc określoną politykę, a tymi, którzy stosują swoje postępowanie do realnych warunków, istniejących w świecie.

Albert Sorel.

I

W r. 1939 na terenie Europy żyło 540 milionów ludzi. Około r. 1650 żyło na tym obszarze około 100 milionów. Od r. 1850 ludność Europy podwoiła się, a w ciągu ostatnich trzech wieków wzrosła pięciokrotnie. Przyrost ludności odbywał się w tempie przyspieszonym. Dziś obserwujemy osłabienie tego tempa i statystyki mówią nam, że wkrótce nadejdzie moment, w którym ludność Europy zacznie się zmniejszać.

Badanie zagadnień demograficznych jest samo przez się tak pasjonującym zajęciem, że usprawiedliwia wszelkie wysiłki w tym zakresie. Ale badanie dyktuje nam tu nie tylko interes naukowy. Przemiany, do których prowadzi dzisiejsza wojna, stawiają nas przed sprawami przyszłego ustroju świata znacznie prędzej, niżby to nastąpiło, gdyby ludność nie została zmuszona do krwawej kąpieli, wywołanej przez hitlerowskie Niemcy. Zmiany populacyjne są jednym z powodów zmian w ustroju społecznym, gospodarczym, w układzie politycznym świata. Zająć za zastaną absolutnych cyfr ludności poszczególnych narodów, obliczyć składniki w procentach, wskazać na tendencje rozwojowe, to znaczy dostarczyć podstawy do obliczenia danych, które należy brać pod uwagę i siebie i u sąsiadów. Pozwoli to nam ustalić stopień, tempo, w jakim będą wyzyskiwane w przyszłości zapasy ziemi, znaleźć wskazania, jeżeli idzie o rozwój przemysłu i możliwość zatrudnienia masy robotniczej, obliczyć zobowiązania społeczne wobec małoletnich. Zagadnienie kobiet inaczej wygląda w społeczeństwach, w których skład ludności zmusza je do pozostawiania w domu, a inaczej tam, gdzie zmuszono je do pracy zawodowej. Przeciętne ilościowe wyliczenia kategorii mężczyzn, nadających się do czynnej służby wojskowej w polu, spowodowały w Wielkiej Brytanii konieczność nie tylko użycia kobiet w przemyśle, w skali dotychczas nieznanej, ale ponadto zmusił do włączenia znacznych ich ilości w oddziały liniowe. Jednym z najistotniejszych względów jest sprawa układu sił, która dotychczas tyle nieznacznie spowodowała w świecie, a szczególnie w Europie.

Europa znajduje się w szczególnie trudnej sytuacji. Przez długi czas pozostawała centrum świata, dziś zaś z trudem utrzymuje swą pozycję, już tylko dzięki temu, że kulturalne jej wpływy współdziałały przy tworzeniu się innych centrów cywilizacji.

Mówiąc o Europie, popełniamy zasadniczy błąd, wymierzając jej zakres geograficzny do gór uralskich. Dziś to pojęcie wypada ścieśnić. W praktyce daleko na zachód od tej formalnej granicy sięga odmienna od europejskiej kultura. Z drugiej jednak strony trzeba pamiętać, że Europa tworzy wraz z Azją nie tylko geograficznie, ale i politycznie jeden kontynent. Okrakiem na dwu odrębnych w naszym umyśle częściach świata siedzi Rosja, która dzisiaj dzięki poważnym przesunięciom gospodarczym i ludnościowym zależy w tym samym stopniu od terenów położonych na wschód, co i na zachód od tej granicy. Dlatego też słuszniej jest mówić o złąciu się tych dwu części świata w jedną, zwłaszcza wobec nowych metod komunikacji i prowadzenia wojny. Ten fakt powoduje, że każde zjawisko, zachodzące w sercu Europy, musi jednocześnie znaleźć swoje odbicie na krańcach tej nowej jedności.

Europa w tych granicach, do których ją ścieśniliśmy, przedstawia dość jednolity obraz. Przemiany, przez jakie przechodzą różne jej rejony, odbiegają od siebie tylko formami i czasem. Raz wcześniej, raz później narody Europy wchodzi na drogę cyklu populacyjnego, zapoczątkowanego na Zachodzie Europy. Rozbieżności te jednak nie są tak wielkie, by nakazywały odrębne traktowanie poszczególnych grup narodowych.

Los Europy nie zależy jednak od niej samej. Zaraz na wschód od europejskiej części Eurazji leży mocarstwo, którego rozwój populacyjny przedstawia się odmiennie, tak że nie sposób go włączyć w ten sam obraz. Trudno nie uznać, że ten fakt może mieć istotne znaczenie dla tego, czym Europa będzie w przyszłości, jakie będą losy jej kultury, jak będzie wyglądał układ sił i gdzie będzie tkwił klucz do istotnego bezpieczeństwa. W zależności od istotnego nastawienia Rosji do krajów Europy będzie się kształtował nasze codzienne życie polityczne. I to nie tylko w Warszawie, ale w Londynie, a nie w Paryżu. Te warunki powodują, że nie sposób rozpatrywać problemów ludnościowych Europy odrębnie, gdyż tak samo jak wojna nie da się ograniczyć tylko do jej granic, tak samo i wszystkie inne problemy z natury rzeczy muszą wykroczyć poza nią.

II

Rozważanie zagadnień populacyjnych polega w istocie na badaniu dwu czynników: wzrostu lub spadku płodności i śmiertelności. Jeden i drugi czynnik jest warunkiem formowania się liczbowego i jakościowego ludności

I. PIRAMIDA ŻYCIA

poszczególnych krajów. Spadkowi urodzeń można częściowo zapobiec przez przedłużanie życia ludzkiego. Liczbowo efekt przez pewien okres czasu może wyglądać tak samo. Ale spadek urodzeń prowadzi zawsze w końcu do zmniejszania się kadr rodziców, a w konsekwencji do coraz bardziej gwałtownego spadku ludności, zwłaszcza że zawsze w pewnym momencie przychodzi kres i ludzie starzy zaczynają masowo wymierać. Ten fakt, zmiana stosunku urodzeń i śmierci, jest istotą przeżywanych obecnie procesów.

Wzrost urodzeń i spadek śmiertelności są przyczyną wzrostu ludności w Europie w ciągu XIX w. Warunki gospodarcze i sanitarne spowodowały z jednej strony ogromny skok w przedłużaniu życia przeciętnego mieszkańca Europy i wpłynęły na wysoką ilość urodzeń. Dopiero w pewien czas następował wraz ze zmianą zwyczajów społecznych, wraz z przystosowaniem się mas do nowych warunków bytowania — spadek urodzeń.

Wypadek Francji jest typowym przykładem tego, co przeżywają narody europejskie. W ostatnich latach przed wojną obecną we Francji ilość zgonów przewyższała liczbę urodzin. Ostateczną przyczyną tego procesu była mała ilość rodziców, którą spowodował długi proces przemian od r. 1820. Wówczas Francja, najliczniejsze wtedy państwo w Europie po Rosji, miała po raz pierwszy ilość urodzin mniejszą niż 30 na 1000 mieszkańców. Następne lata przyniosły dalszy spadek. Jeżelibyśmy chcieli przedstawić graficznie ludność Francji z lat przed r. 1820, wówczas otrzymalibyśmy, idąc od dołu od najmłodszych roczników, piramidę o bardzo szerokiej podstawie, zwiężając się ku górze. W miarę upływu czasu piramida zwiężała się u dołu, podwyższając i rozszerzając się ku górze. W latach trzydziestych w. XX spoczywa już na bardzo wąskiej podstawie najmłodszego pokolenia, którego przysięcie na świat nie jest w stanie zrównoważyć ilość zgonów starszych, dochodzących swych dni. W ostatniej dekadzie przed obecną wojną płodność rodziców francuskich była wyższa niż rodziców angielskich, ale ich kadry były zbyt szczupłe. By porównawczo zilustrować pozycję Francji: w końcu XVIII w. populacyjnie prześcignęła Francję Rosja, około 1870 r. — Niemcy, około r. 1900 — Wielka Brytania, około r. 1930 — Włochy. Jeżeliby nie się nie zmieniło, Polska prześcignęłaby Francję około r. 1960.

Przez to co przeżyła Francja, przeszły też inne narody. W Szwecji poniżej 30 urodzeń na 1000 mieszkańców przyniosły lata około r. 1880, w Anglii i reszcie Skandynawii — r. 1890, w Niemczech, Holandii, Czechosłowacji i krajach bałtyckich — lata między 1900 a 1910. Na Węgrzech, we Włoszech, Hiszpanii — r. 1920, w Polsce i na Bałkanach — r. 1930. Z krajów europejskich jedynie Rosja i Albania w r. 1939 miały ponad 30 urodzeń na 1000 mieszkańców.

Zaden z tych krajów nie doszedł do tego stanu co Francja, ale wszystkie, z wyjątkiem nielicznej Albanii (ponad milion mieszkańców) i kolosa rosyjskiego, wkroczyły na tę drogę zwiężania podstawy piramidy ludnościowej. W tej chwili ludność Europy jeszcze wzrasta i należy przewidywać, że jeszcze przez pewien czas będzie wzrastała, zwłaszcza dzięki temu, że niektóre z licznych krajów Europy stosunkowo późno wstąpiły na drogę spadku płodności. Niemniej jednak w tej chwili w strukturze żyjącej ludności europejskiej istnieją już warunki, które sprawiają, że powtórzy się w nich — w mniejszej lub większej skali — to, przez co Francja przechodzi obecnie. Cała Europa, która dzięki tym samym przyczynom przeszła przez raptowny wzrost liczby ludności w ciągu XIX i XX wieku, dzięki innym znowu przyczynom przechodzi w stan stabilizacji ludnościowej z możliwością spadku ludności w niedługiej przyszłości.

III

Wyjątkowa pozycja Rosji w stosunku do Europy wynika nie tylko z tego faktu, że Rosja ma najliczniejszą ludność w porównaniu do wszystkich państw Europy. Jakkolwiek spory procent tej ludności żyje poza kontynentem Europy, to jednak z każdego punktu widzenia, zwłaszcza w nowoczesnych warunkach komunikacyjnych, cała ludność Rosji musi być brana pod uwagę, jeżeli idzie o ocenę właściwego układu sił. W r. 1926

ze wszystkich krajów europejskich jedynie Rosja miała przyrost 1.60. Właściwie znaczenie tej cyfry wychodzi na jaw znowu w świetle dotychczasowej historii populacyjnej Rosji. Około dwa wieki temu Rosja miała mniej mieszkańców niż współczesna Francja. Dziś Rosja ma ludność 4 razy większą niż Francja, a 2 razy większą niż Niemcy, największe w tym zakresie państwo na terenie Europy. Mimo wojny i rewolucji, mimo kolektywizacji, polityki społecznej, która początkowo zmniejszała do osłabienia więzów rodzinnych, Rosja wykazała w czasie między dwoma wojnami liczbowy wzrost 23 milionów. W okresie od r. 1900 ludność Rosji wzrosła o 55%. Jeszcze w r. 1939 Rosja nie osiągnęła sytuacji Francji z r. 1820. Nie tylko wzrastała ona w ciągu XIX i XX w. prędzej niż inne państwa Europy, ale posiada więcej sił dla kontynuowania tego wzrostu w najbliższej przyszłości.

Z drugiej strony Rosja już dzisiaj wkroczyła na tę drogę co narody Europy. Jakkolwiek tendencje, które pokierowały losami innych narodów, nie zaznaczały się jeszcze cyfrowo w strukturze populacyjnej Rosji, to jednak działanie ich nie ulega wątpliwości. Przede wszystkim sam procent wzrostu ludności w ciągu XX w. do r. 1940 świadczy o zwolnieniu tempa w porównaniu ze wzrostem Europy w XIX w. Następnie, straty wskutek wojny i rewolucji, włączając w to i straty wskutek spadku urodzin, oceniane na 26 milionów, nie mogły pozostać bez wpływu, przyspieszając proces, zmierzający do dojrzalszości populacyjnej Rosji. Jakkolwiek z opóźnieniem, zaobserwowane w stosunku do innych narodów zjawisko spadku urodzin i śmiertelności działa i w Rosji. Niemniej jednak wielka przestrzeń Rosji i inne czynniki powodują, że te przyczyny, które tkwią u podstawy procesów populacyjnych, będą w Rosji działały wolniej, jeżeli znowu względy doktrynalne nie spowodują, że kierownictwo polityczne Rosji rozpocznie realizowanie polityki, hamującej normalny rozwój stosunków.

IV

Wszystkie dane statystyczne, podane dotychczas, pochodzą z wydawnictwa Ligi Narodów „The Future Population of Europe and the Soviet Union 1940-70“, opracowanego przez członków biura demograficznego Uniwersytetu w Princeton w r. 1944. Wychodząc z przeszłości, nieraz bardzo odległej, jak na opracowane statystyki, które stały się modą stosunkowo niedawno, procownicy biura usiłowali obliczyć, biorąc pod uwagę istniejące tendencje i już znane dane, ludność Europy i Rosji Sowieckiej w r. 1970. Zadanie, jakkolwiek trudne, nie jest przecież nieosiągalne. Już bowiem dzisiaj żyją ludzie, którzy będą żyli w r. 1970. W tym roku dzieci, które dzisiaj przyszedł na świat, będą stanowiły najmłodsze kadry rodziców, będą stanowiły dolne warstwy mężczyzn i kobiet, nadających się do pracy, do służby wojskowej. Od ilości tych rodziców będzie w dużej mierze zależała ilość jeszcze niższych roczników, które wreszcie zejdą do podstawy piramidy ludnościowej poszczególnych krajów. Proces przekazywania dziedzictwa przez poszczególne pokolenia nie da się ująć w jakieś ściśle określone okresy. Jest on dziełem każdego dnia. I dlatego, jakkolwiek nie podobna wykluczyć wpływu różnych czynników, które ostatecznie zakończą końcowy rezultat, już dzisiaj można przewidzieć cyfry, które w przybliżeniu odpowiadają rzeczywistości w r. 1970. Obliczenia te zostały poczynione na zasadzie granic politycznych z r. 1937 i strat wojennych w tej samej wysokości, co w czasie ostatniej wojny. (Straty, bezpośrednio z walką zbrojną związane, spadek urodzin, wyższa śmiertelność, — wyniosły razem 22 miliony w Europie; a w Rosji, włączając straty wynikłe z przewrotu politycznego, — 26-28 milionów).

Wedle tych obliczeń ludność Europy (z wykluczeniem Związku Sowieckiego) wzrasta z 399 milionów w r. 1941 do 417 milionów w r. 1970. Na te cyfry składa się ludność Europy Centralnej i Północno-Zachodniej, która spada z 234 milionów w r. 1940 do 225 milionów w r. 1970, oraz ludność Europy Wschodniej i Południowej, która wzrasta z 165 do 192 milionów. W tym samym czasie ludność Związku Sowieckiego rośnie ze 174 do 251 milionów. Rzut oka na tablice wydawnictwa uczy dalej, że ilość ludności Europy zachodniej i północnej rośnie do r. 1950, następnie przez pewien czas utrzymuje się na tym samym poziomie, aby rozpocząć potem

powolne cofanie się. Kraje Europy południowej i wschodniej, wśród których poza trzema krajami łacińskimi (Włochy, Hiszpania, Portugalia) jedynie Polska i Rumunia przedstawiają większe ośrodki ludnościowe, posiadają jeszcze ludność dynamiczną. Ogólna cyfra ludności tego rejonu wzrasta z 167 w r. 1940 do 183 milionów w r. 1955, by w ciągu następnych piętnastu lat wzrosnąć zaledwie o dalszych dziewięć milionów.

Procentowy spadek w krajach Europy zachodniej, centralnej i północnej waha się od ułamka procentu do prawie 12% w wypadku Francji. Kraje Europy wschodniej i południowej natomiast mają przyrost, wahać się od kilku procent, Litwa — 24%, Rumunia i Polska — około 18%. W tym samym czasie ludność Rosji wzrasta o 77 milionów, t. j. o około 44%. Jednak i tutaj można zaobserwować pewne zmiany. W okresie tym bowiem każde pięciolecie przynosi coraz to malejące przyrosty, nawet w cyfrach absolutnych. Przyrost maleje jeszcze widoczniej procentowo. Dość powiedzieć, że w okresie 1940-1945 Rosja wzrasta z cyfry 174 o 15 milionów, w latach 1965-1970, przy cyfrze 240, już tylko o 11 milionów.

Trzeba dodać, że prawdopodobnie, jeżeli tendencje, obserwowane dotychczas do r. 1940 dla krajów Europy i Rosji Sowieckiej, pozostaną takie same, wojna przyniesie większe dysproporcje. Przede wszystkim straty wojenne dla niektórych krajów, a zwłaszcza dla Niemiec, Rosji a także i Polski, kształtują się znacznie wyżej niż w poprzedniej wojnie. Następnie przypuszczalnie Niemcy utracą spore części swego terytorium. Z drugiej strony nie jesteśmy w stanie przewidzieć — zwłaszcza w Z.S.R.R. — wpływu takich czynników, jak stałego niedożywienia ludności, efektu nie spotykanej dotychczas w dziejach mobilizacji narodowej i t. d. Wszelkie jednak głosy krytyczne, które dotychczas podniosły się przeciw obliczeniom, zawartym w omawianych przez nas opracowaniach, zarzucają, iż przyjmują one dla Z.S.R.R. niskie cyfry, oparte na tendencjach z okresu, w którym struktura ludnościowa kształtowała się w warunkach wyjątkowo niepomysłnych.

Historia jednak Z.S.R.R. i ostatnie czasy raczej obfitowały w przykłady nieliczenia się z materiałem ludzkim. Nie należy przypuszczać, by warunki polityczne, społeczne, a co najważniejsza ambicje kół kierowniczych rosyjskich pozwoliły na zasadnicze zmiany w nastawieniu umysłów Rosji w tej mierze.

Z innych większych krajów Europy Niemcy w okresie 1940-1970 przechodzą lekki wzrost, wracając z powrotem do tej samej cyfry, z której wyszli. Zjednoczone Królestwo (Anglia, Szkocja, Walia) i Irlandia rozpoczynają zdecydowany marsz w dół. Z krajów wschodniej Europy najpoważniejszy przyrost liczbowy ma Polska. Wychodząc z cyfry 35 milionów w r. 1940, dochodzi do 41 miliona w r. 1970. W okresie między dwiema wojnami Polska miała największy przyrost naturalny poza Rosją. Dopiero ostatnie lata przed wojną przyniosły silny spadek przyrostu naturalnego, który prowadzi autorów obliczenia do wniosku, że w praktyce dołączy się ona wkrótce do grupy krajów centralnej i zachodniej Europy z cofającą się ludnością. Przeciwnie temu przypuszczeniu można podnieść zastrzeżenia, że okres gwałtownego spadku przyrostu w latach trzydziestych nie zdołał jednak zasadniczo wpłynąć na specjalne głębokie zmiany w kadrach rodziców na lata późniejsze. W przeciwieństwie do krajów zachodniej Europy, a w szczególności Niemiec, Polska nie uprawia polityki, mającej na celu powiększanie cyfr ludności. Wprost przeciwnie, oficjalną polityką — była polityka emigracji, działająca gorzej na strukturę populacyjną Polski niż wojna. W tym stanie rzeczy, przy przebudowie gospodarczej i porzuceniu polityki popierania emigracji, proces starzenia się ludnościowego Polski może się znacznie opóźnić. Z drugiej strony Polska poniosła poważne straty i w wyniku wojny, jak też w wyniku eksterminacji Żydów i inteligencji polskiej. Trudno w tej chwili nawet w przybliżeniu obliczyć skutki tych strat na tendencje w rozwoju populacyjnym Polski. Trzeba jednak podnieść, że chłop polski, który był głównym źródłem polskiego przyrostu ludnościowego, poniósł stosunkowo najmniejsze straty liczbowe.

Z tymi zastrzeżeniami jednak ostateczne obliczenia nie ulegają zmianom. Ludność Europy zstarzała się i nie ma w tej chwili ani możliwości, ani nadziei na podjęcie ponownie przez poszczególne narody Europy procesu wzrostu ludności. Co więcej, prawdopodobnie ludność Europy zacznie coraz poważniej spadać. Spadek ten będzie spowodowany wymieraniem starszych roczników, które przyszedł na świat w okresie działania nowych warunków zdrowotnych i pracy. Jednocześnie jednak na krańcach Europy Rosja Sowiecka zachowuje jeszcze poważne możliwości rozwoju i jakkolwiek by ten przyrost odbiegał od podanych wyżej cyfr, zawsze będzie on poważny.

Znaczenie tego przyrostu i właściwy układ sił widać najlepiej przy skonstruowaniu wnętrza piramid ludnościowych na rok 1970 dla poszczególnych krajów Europy w porównaniu z r. 1940 z piramidami Rosji w tym samym czasie.

W jednym z najbliższych numerów ukaze

się druga część niniejszego artykułu p. 1.

„ŚWIAT Z PERSPEKTYWY

ROKU 1970“.

APOLINARY KIELCZYŃSKI

BUŁGARSKIE SFERY KIEROWNICZE

Bułgarzy pierwsi spośród narodów bałkańskich popadli w niewolę turecką i ostatni niemal — jedynie przed Albańczykami — odzyskali własne państwo. Pięciowiekowa węgetacja w granicach Imperium Otomańskiego doprowadziła naród bułgarski do poziomu jednolitej masy chłopskiej, podporządkowanej politycznie i gospodarczo Turkom, pod względem zaś religijnym i kulturalnym — obcemu duchowieństwu greckiemu.

Rozpoczął w połowie XIX w. proces odrodzenia narodowego Bułgarów przez długie lata ograniczał się niemal wyłącznie do ciężkich, nierzadko krwawych walk z duchowieństwem greckim o własną cerkiew i własną szkołę. Walkę tę Bułgarzy ostatecznie wygrali i w r. 1871 na mocy fermanu sułtańskiego uzyskali niezależność kościelną w postaci ogłoszonego za schizmatyki przez patriarchę konstantynopolańskiego autokefalicznego egzarchatu bułgarskiego na ziemiach obecnego państwa bułgarskiego oraz Tracji i Macedonii. Jednym z pierwszych i głównych zadań egzarchatu było zorganizowanie obok cerkwi, szkolnictwa bułgarskiego.

Powołane do życia w wyniku wojny rosyjsko-tureckiej z r. 1877-78 przez traktat w St. Stefanu w granicach egzarchatu i utrzymane w znacznie uszczuplonych rozmiarach przez traktat berliński Księstwo Bułgarskie formowało się w warunkach szczególnych. Jednolity naród bułgarski, pozbawiony różnic społecznych i gospodarczych, nie posiadający wielkich miast ani przemysłu, ani wielkiej własności rolnej, z ledwie organizującym się duchowieństwem i świeżo wytwarzającą się inteligencją zawodową i urzędniczą, zaczął budować zrebry swej państwowości na fundamentach głęboko demokratycznych i postępowych. Uchwalona w r. 1878 w dawnej stolicy carów bułgarskich, Ternowie, wzorowana na belgijskiej, konstytucja bułgarska uchodzi do tychczas za jedną z najliberalniejszych ustaw konstytucyjnych w świecie. Oparty na pięcioprzymiotnikowym głosowaniu i wszystkich innych zdobyczach demokracji parlamentarnej bułgarski rozrósł się i przyczynił do poważnego wyrobienia politycznego najszerzych mas społecznych. Otoczone szczególną opieką państwa szkolnictwo wykorzystało wcześniej niż u któregośkolwiek innego z narodów bałkańskich analfabetyzm.

Dopiero w granicach własnego państwa nastąpiło różniczkowanie społeczeństwa bułgarskiego.

Pierwsze wyodrębniło się duchowieństwo. W okresie odrodzenia narodowego droga do mitry biskupiej prowadziła często przez więzienia tureckie, zsyki w głąb Anatolii i zawzięcie przez twardą walkę. Parafie po popach greckich obejmowały jednostki bojowe, nierzadko rewolucyjne, przywódcy ludu w zmaganiach z grecką władzą duchowną, popierana przez państwową władzę turecką, osoby o miernym przeważnie wykształceniu, o dużym za to napięciu ideowym, zwykle najpierw wybierane przez parafian i dopiero później wysłane przez biskupów. Duchowieństwo to przodowało narodowi w walkach o niepodległość, w opracowaniu form ustrojowych państwa, a nawet w rządach. W tych warunkach prawosławny kościół bułgarski z łatwością uznany został za instytucję państwową, utrzymywaną głównie z budżetu władz centralnych, przy jednoczesnym zachowaniu zupełnej niezależności od czynnika świeckiego.

Okres odrodzenia trwał jednak zbyt krótko, aby stworzyć zdrową tradycję, czy przygotować światłe kadry, które by były w stanie ugruntować młodzieńki kościół bułgarski na mocnych rodzinnych fundamentach. Kształcone znów w ośrodkach rosyjskich, rumuńskich, serbskich i innych wyższe duchowieństwo bułgarskie ulegało różnym tradycjom i wpływom i nie mogło znaleźć oparcia organizacyjnego i duchowego w jednym z istniejących kościołów prawosławnych. Dlatego też głównie, po krótkim okresie świetności, pod naciskiem zradykalizowanej i przesiąkniętej ideami marksistowskimi inteligencji bułgarskiej kościół bułgarski zaczął tracić swe wpływy na sprawy państwowe i na społeczeństwo. Typ duchowno-bojowca, przywódca narodu, zaczął zanikać, jego miejsce zajmował typ duchownego, płatnego urzędnika o niespecyficznym poziomie ideowym, umysłowym, a częstokroć i moralnym. Stanu tego nie zmieniło utworzenie przy uniwersytecie sofijskim wydziału teologii prawosławnej. W ostatnich latach przed wojną w Bułgarii miały miejsce wysoce gorszące procesy o przekupstwo świeckich wyborców metropolitów, afera kilkudziesięciu popów, którzy pożenili się powtórnie wbrew zakazom kanonicznym, wreszcie pojawili się t. zw. „czerwoni popi” (popi komuniści). Podczas wojny stan rozkładu duchowieństwa bułgarskiego pogłębił się jeszcze.

Po przewrocie z dnia 9 września 1944 r. czterech wyższych duchownych i cały szereg popów znalazło się w więzieniach za zbyt daleko posuniętą współpracę z Niemcami, kościół bułgarski został oddzielony od państwa, wprowadzono nieznane dotąd służy cywilne, usunięto nauczanie religii w szkołach średnich i niższych i t. d. Kilku metropolitów zgłosiło protesty, za co zostali usunięci z prezydium Synodu. Reszta duchowieństwa z metropolitą sofijskim na czele głosi dytamy na cześć reżimu i jego opiekunki, Rosji sowiec-

kiej, i zabiera się do „demokratyzacji” prawosławnego kościoła bułgarskiego. Na razie „demokratyzacja” ta uzewnętrznia się w zaprowadzeniu obieralności przeorów w klasztorach przez mnichów i obieralności popów przez parafian.

Przed kilku tygodniami Synod bułgarski dokonał wyboru egzarchy, którym został metropolita sofijski, Stefan. Akt ten jest pozbawiony znaczenia politycznego. Na mocy fermanu sułtańskiego z r. 1871, stanowiącego podstawę prawną istnienia niezależnego kościoła bułgarskiego, egzarcha miał siedzibę w Konstantynopolu i jego jurysdykcji podlegała również znajdująca się poza granicami państwa bułgarskiego ludność Tracji i Macedonii. Wobec niemożności utrzymania tych warunków po wojnie światowej, kościół bułgarski, nie chcąc się ich wyrzec, nie wybrał od roku 1918 egzarchy. Obecny wybór egzarchy jest równoznaczny z rezygnacją kościoła bułgarskiego z — nierealnych wprawdzie — roszczeń do Tracji i Macedonii i jako taki musi wywołać głębokie niezadowolenie w nacjonalistycznych kołach bułgarskich, które jedynie jeszcze pozostawały wierne duchowieństwu. W tych warunkach trudno oczekiwać od duchowieństwa bułgarskiego, by odegrało rolę przywódcy czy ostoju narodu bułgarskiego w przeżywanych przezeń krytycznych chwilach, lecz obawiać się raczej trzeba, że kościół bułgarski nie przedkłada się z ciężkiego kryzysu, w jakim się znalazł.

Później niż duchowieństwo, ale wyraźniej zaczęło się odcinać na tle społecznego i politycznego życia Bułgarii wojsko, ściślej — korpus oficerski. Niefortunne rozwiązanie problemu bułgarskiego w Berlinie w r. 1878, pozostawiające znaczną część Bułgarów poza granicami własnego państwa, skupiło dążenia społeczeństwa bułgarskiego wokół t. zw. problemu zjednoczenia narodowego. Najprostsza droga do tego zjednoczenia prowadziła przez stworzenie silnej i dobrze przygotowanej armii. Tendencja ta znalazła patronów w osobach monarchów, a podstawowy argument w zwycięskiej dla Bułgarii wojnie z Serbią w roku 1885, spowodowanej zbrojnym przeciwstawieniem się Serbii połączeniu Księstwa Bułgarii ze Wschodnią Rumelią w jeden organizm państwowy. Przez dziesiątki lat oficerski korpus bułgarski był otoczony czcią całego narodu, budżety wojska były przyjmowane przez parlamenty bez dyskusji i przez aklamację, osoba oficera była prawie że świętą i nietykalną, był on lepiej płatny i wyżej ceniony niż urzędnik cywilny. Z biegiem czasu oficerski korpus bułgarski stał się pewnego rodzaju kastą społeczną, wywierającą coraz donioślejszy wpływ na bieg maszyn państwowej, gotową od obrony zdobytych pozycji. Król Ferdynand podtrzymywał i popierał ten stan rzeczy, wygrywając niejednokrotnie oficerów w swych rozgrywkach politycznych.

Katastrofalny dla Bułgarii wynik wojen bałkańskich 1912—1913 i wojny światowej, który nastąpił mimo szeregu świetnych zwycięstw na polu walki, wywołał rewizję poglądów społeczeństwa bułgarskiego, która m. in. objęła też ustosunkowanie się społeczeństwa do oficerów. Rządy Stambolijskiego (1919—1923) odnosiły się do korpusu oficerskiego z nieufnością i niechęcią, czyniąc go współodpowiedzialnym z dynastią za obie katastrofy narodowe. Oficerowie odpowiedzieli na to zejściem do podziemi konspiracji i gotowością użycia wojska w obronie własnych pozycji. W ciągu ostatnich dwudziestu paru lat zakonspirowana organizacja oficerska wyprawała trzy razy wojsko na ulice. W latach 1923, 1934 i 1944 armia bułgarska usuwała siłą niewygodne dla niej rządy i zaprowadzała bardzo poważne zmiany polityczne w państwie. W r. 1923 organizacja ta usunęła siłą gabinet Stambolijskiego w imię obrony monarchii, starego ustroju parlamentarnego i hasła zjednoczenia narodowego. W r. 1934 ta sama organizacja, która tymczasem przeżyła głęboką ewolucję, usunęła siłą rząd ultra-demokratycznej Bloku Ludowego i wypowiedziała się przeciwko królowi Borysowi, przeciwko partiom politycznym, przeciwko zdeprawowanym zresztą elementom, podtrzymującym hasła zjednoczenia narodowego, za rządami totalitarno-elitarnymi. Wreszcie w r. 1944 ta sama organizacja wykonała wspólnie z komunistami i ludowcami zamach stanu w imię demokracji i przystąpiła m.in. do organizowania własnej partii politycznej, głosząc urbi et orbi, że przyczyną wszystkich nieszczęść po dwóch poprzednich przewrotach był właśnie brak takiej partii.

W latach 1925—28 w bułgarskim korpusie oficerskim nastąpił rozłam na starszych oficerów, wiernych królowi Borysowi i tradycjom z czasów króla Ferdynanda, i oficerów młodszych, skłaniających się ku tendencjom republikańskim, szukających współpracy z lewicującymi zwolennikami idei Stambolijskiego i widzących przyszłość Bułgarii w ścisłym związku z narodami Jugosławii oraz w zbliżeniu do Francji i Anglii. Drugi kierunek opowiadał organizację konspiracyjną i przeprowadził zamach stanu w r. 1934. Już jednak po kilku miesiącach rządów, obóz ten, skłócony wewnętrznie, musiał ustąpić i miejsce jego zajęli zwolennicy króla, którzy formalnie organizację konspiracyjną rozwiązyli, czołowych jej przywódców uwięzili, licznych zaś jej zwolenników usunęli ze służby czynnej.

W rozgrywce tej obie strony unikały naruszania podstawowych interesów kasty oficerskiej: mimo licznych procesów, żaden z oficerów nie został stracony, nie ujawniono szczegółów, dotyczących życia organizacji konspiracyjnej, nie dopuszczono do ingerencji czynników cywilnych w sprawy wojska, zwolnionym oficerom przyznano emerytury i t. d.

Organizacja konspiracyjna przetrwała tę próbę, z tym, że znajdujący się w więzieniach jej przywódcy w większym stopniu, a ich zwolennicy na wolności w mniejszym — zbliżyli się do komunistów i już w czasie obecnej wojny nawiązali z nimi ścisłą współpracę, która doprowadziła do wspólnie dokonanego przewrotu we wrześniu 1944 r. Udział czynnika komunistycznego w zamachu stanu przekreślił ostatecznie rodzaj niepisanej umowy o nietykalności interesów kasty oficerskiej. Podczas akcji rewolucyjnej zginęło wielu oficerów, zwolenników dynastii, wystrzelanych przez komunistów. Jeszcze więcej oficerów aresztowano i zatrzymano mimo zakazów i protestów władz wojskowych milicji komunistycznej. Do korpusu oficerskiego wtargnęła fala komunistów, którym nadano stopnie oficerskie, do generalskich włącznie, mimo, że w większości wypadków nie mieli oni za sobą żadnej szkoły wojskowej. Do armii bułgarskiej wprowadzono instytucje politycznych zastępców dowódcy, odpowiadającą instytucji „politruków” w Czerwonej Armii. Wreszcie zorganizowano t. zw. „gwardię ludową”, ochotnicze oddziały partyjne, komunistyczne lub ludowe, i wcielono je jako jednostki niezależne do formacji wojska, od batalionów wzwyż.

Przywódcy konspiracji, znalazłszy się po przewrocie na czołowych stanowiskach w armii, usiłowali się przeciwstawić naporowi komunistów, wykorzystując w tym celu wpływy stronnictwa ludowego w wojsku. Zahamowało to jedynie i utrudniło do pewnego stopnia penetrację komunistyczną, nie usunęło jej jednak. Próba ratowania przynajmniej aresztowanych oficerów doprowadziła do otwartego konfliktu z komunistami, za którymi opowiedziały się okupacyjne władze sowieckie, co zmusiło ministra wojny i rząd do odwołania już opublikowanych zarządzeń. W procesie przeciwko regentom i członkom poprzednich rządów bułgarskich skazano również i stracono kilku generałów, mimo że jeżeli ktokolwiek w Bułgarii przeciwstawiał się faktycznemu udziałowi tego kraju w wojnie, to w pierwszym rządzie robili to właśnie skazani generałowie.

Rozwój sytuacji politycznej w ostatnich czasach w Bułgarii pozwala przypuszczać, że doprowadzone do stanu krwawych porachunków walki między obozami oficerskimi nie skończy się prędko, że konspiratorzy wojskowi nie zdołają stworzyć poważnej własnej organizacji politycznej, że z trudem utrzymają może jeszcze przez czas pewien swe wpływy w wojsku, w końcu tracąc je jednak na rzecz komunistów, po czym liczyć się trzeba z ostateczną likwidacją konspiracji wojskowej i znaczenia korpusu oficerskiego w życiu politycznym Bułgarii.

Formowanie się warstwy urzędniczej i inteligencji zawodowej rozpoczęło się w Bułgarii przy gwałtownym zapotrzebowaniu i olbrzymim braku wykształconego i fachowego przygotowanego materiału ludzkiego. Okoliczność ta oraz ogromne przeludnienie wsi (w ostatnich latach na kilometr kw. uprawnej ziemi, mogącej utrzymać 50 osób, przypadało osób 113) pełne zastępy młodzieży wiejskiej do wcześniej zorganizowanych, tanich i dogodnie rozmieszczonych po całym kraju ogólnokształcących szkół średnich. Duża część tej młodzieży wychodziła w życie na słabo płatne posady państwowe i samorządowe w stanie niedokształconym. Reszta udawała się za granicę, przede wszystkim do Rosji, Austro-Węgier i Niemiec, oraz w mniejszej liczbie do Francji, Szwajcarii i Włoch na wyższe studia. Przeważnie biedna i prymitywna młodzież bułgarska wyżywała się zagranicą głównie w jedynie łatwo dostępnych dla niej studenckich kołach rewolucyjnych i wracała przesiąknięta radykalizmem lub jeszcze częściej marksizmem różnych odcieni. W kraju ci rewolucjonści nie znajdowali ani w administracji państwowej, gdzie płace były zawsze skromne, ani w ledwie kiełkującym przemyśle, ani w stawianym pierwsze kroki handlu nowoczesnym, dobrze płatnych stanowisk, które by stępiły ich zapędy światoburcze. Znajdowali natomiast wśród niedokształconych swych dawnych kolegów z ławy szkolnej łatwych wyznawców. W konsekwencji tego zjawiska w Bułgarii, kraju niemal wyłącznie rolniczym (jeszcze w r. 1939 82% ludności Bułgarii zajmowało się rolnictwem, a 10% czerpało swe środki do życia z przemysłu, związanego z rolnictwem), nie posiadającym przemysłu, ani klasy robotniczej, inteligencja i w pierwszym rządzie nauczycielstwo od początków swego istnienia były bardzo radykalne. Odbiło się to przede wszystkim na następnych pokoleniach kształcącej się młodzieży i doprowadziło ostatecznie do powstania powszechnie spotykanego w Bułgarii typu inteligenta-doktrynera, oderwanego od życia intelektualisty, grzebiącego w receptach na zbawienie świata, wiecznie niezadowolonego, skłonienie do krytykowania wszystkiego i wszystkich, nierzadko znajdującego dostateczne rozwiązania trapiących go problemów w szeregach anar-

chistów lub komunistów. Z tego typu inteligentów bułgarskich wywiedli się Rakowski, Stomoniakow, Wasyl Kolarow, Georgij Dimitrow i inne gwiazdy wojującego komunizmu.

Otworzony w r. 1889 i rozbudowany w następnych dziesięcioleciach uniwersytet sofijski udostępnił wyższą naukę szerszym masom bułgarskiej młodzieży wiejskiej, która też garnęła się do niej coraz tłumnie, mimo nasycenia rynku i początków bezrobocia inteligencji. O pracę było coraz trudniej, wykształcony młodzieniec na wieś wracać nie chciał, szukał więc oparcia w sztabach partyjnych, licząc w ten sposób, że przy sprzyjających warunkach zrobi jeśli nie wcześniej, to później karierę. Z biegiem czasu bułgarskie stronnictwa polityczne, zwłaszcza w okresie pozostawiania w opozycji, obciążały się nadmiernym balastem bezrobotnej półinteligencji i inteligencji, czekającej na swą kolej, by zajmując miejsce pracujących urzędników państwowych i samorządowych. Z tej głównie przyczyny żaden rząd ani ugrupowanie rządzące nie zdobyło się na wprowadzenie stabilizacji urzędników, a po każdej zmianie już nie tylko partii rządzącej, lecz nawet ministra, następowała zmiana niemal całego personelu, podporządkowanego temu ministrowi. Pracujący urzędnicy starali się zabezpieczyć przez masowe przechodzenie z partii lub frakcji ustępującego ministra do partii i frakcji ministra nowomianowanego. Obok ciągłego żywotnego typu inteligenta-doktrynera powstał i szeroko rozpowszechnił się nowy typ inteligenta-partyjnika-karierowicza, bezideowego intryganta, starającego się dorobić w okresie dobrej koniunktury. Epidemia partyjnictwa nie oszczędziła nawet profesorów uniwersytetu, ani wybitnych twórców kultury (literatów, malarzy, muzyków), nie mówiąc już o dziennikarzach, adwokatach i t. d.

W zjawisku tym szukać należy częściowo wytłumaczenia niechęci, która się przerodziła ostatecznie w otwartą walkę Stambolijskiego i jego rządów z inteligencją bułgarską w latach 1919—23, w nim też szukali argumentów spiskowcy wojskowi dla wytłumaczenia swoich koncepcji elitarno-totalitarnych w r. 1934, nim też powodował się prawdopodobnie król Borys, bądź to odsuwając czynniki społeczno-polityczne od udziału w życiu państwowym Bułgarii w latach 1935—38, bądź też dobierając sobie w latach 1938—43 członków parlamentu i ministrów, którzy dla własnej kariery gotowi byli głosować i realizować wszystko, czego od nich zażądano; w zjawisku tym też częściowo ma swe źródło obecna tragedia stosunków wewnętrznych Bułgarii.

Oczywiście różne czynniki partyjne i społeczne zdawały sobie dość wcześnie sprawę z przeżywanego przez inteligencję bułgarską ciężkiego kryzysu. Starano się zaradzić nadmiernemu przyrostowi inteligencji przez organizowanie średniego szkolnictwa zawodowego i przez uniemożliwienie dostępu do uniwersytetu młodzieży o słabszych wynikach w szkołach średnich. Rozbudowano rzeczywście imponujący ruch kooperacyjny. Zamachowcy z r. 1934 posunęli się nawet do zniesienia wybieralności wójtów i burmistrzów, zastępując ich jednostkami z nominacji z wysokim cenzusem wykształcenia. Najszcześliwszą może jeszcze receptę znaleźli wyznawcy Stambolijskiego z lewicy stronnictwa ludowego, którzy zażądali od swej inteligencji, by nie zrywała ze wsią, lecz kosztem pewnych ofiar własnej ambicji pozostała rzeczywistą częścią społeczeństwa wiejskiego, szukając zastosowania swej wiedzy tam, skąd się wywodzi, i opuszczając te miejsca tylko w razie realnej potrzeby społeczeństwa gdzie indziej. Eksperyment ten nie został wypróbowany do końca, gdyż propagujące go ugrupowanie polityczne było przedmiotem najcięższych przesładowań niemal przez całe ostatnie lat dwadzieścia.

Po przewrocie z 9 września 1944 r. decydujący wpływ na sprawy bułgarskie uzyskała inteligencja typu doktrynerów, łącznie z dość liczną grupą komunistów bułgarskich. Zespół ten burzy wszystko, co może, z dawnych zdobyczy kulturalnych i gospodarczych, pracowitego i wysoce oszczędnego narodu bułgarskiego i szuka nowej recepty na zbawienie ludzkości w starych hasłach międzynarodówki komunistycznej. Może się wydać paradoksalnym, ale radio i inne instytucje propagandowe i kulturalne bułgarskie, które przed kilku miesiącami jeszcze wysługiwały się teozom faszystowsko-nazistowskim, w tym samym tonie i w tej samej dialektyce wysługują się obecnie hasłom „demokracji i postępu”, z tą może jedynie różnicą, że przedtem przeciwników politycznych wysyłało na tuczenie kamieniami na szosach, podczas gdy obecnie stawia się ich przed sądem ludowym i plutonami egzekucyjnymi.

Jak z tego wszystkiego wyjdzie naród bułgarski, trudno w tej chwili przewidzieć, w każdym razie można twierdzić z dużym prawdopodobieństwem, że nie wyprowadzi go na jaśniejszy brzeg ani duchowieństwo, ani wojsko, ani inteligencja. Sądząc z przeszłości, trzeba tu liczyć się z tym, że naród, który po pięciowiekowej wegetacji bez sfer produkujących znalazł drogę do wolności kulturalnej i politycznej, znajdzie ją i w obecnym chaosie, własnym instynktem wiedziony.

WIKTOR WEINTRAUB

CHARLES MAURRAS

Charles Maurras został skazany na dożywotnie więzienie. Tak Czwarta Republika zamknęła swoje porachunki z najwybitniejszym z kolaborantów.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że Maurras był spośród nich wszystkich indywidualnością najwybitniejszą. Kiedy zmarły na krótko przed wojną znakomity krytyk francuski, Albert Thibaudet, postanowił skreślić historię duchową swego pokolenia, „Trente ans de vie française”, jako czołowe postacie, dokoła których skupiałyby się ta historia, wybrał Bergsona, Jaurès'a (tomu o nim nie zdążył zresztą nigdy napisać) i — Maurrasa. Maurras, redaktor „Action Française”, był przez długie dziesiątki lat głową skrajnego odłamu prawicy francuskiej, — monarchistów. Był nie tylko najwybitniejszym publicystą swej partii, wypracował jej także podstawy ideologiczne. „Przed Maurrasem być monarchistą, — powiedział ktoś, — znaczyło tyle, co po prostu być członkiem głupim; po Maurrasie znaczy to być na swój sposób człowiekiem inteligentnym”.

Dziś, kiedy kariera życiowa Maurrasa rysuje się już jako zamknięta całość, widać wyraźnie, że przebiegała ona w sposób szczególnie tragiczny, że znamionuje ją załamanie się moralne tak kompletne, jakie rzadko kiedy się tafia. Przywódca wojującego nacjonalizmu, człowiek, który przed tamtą wojną należał wraz z Barrèsem do głównych ideologów polityki „rewanżu”, znalazł się w czasie tej wojny w obozie kapitulantów. Pisarz, który przez całe życie był apostołem tradycji słonecznej cywilizacji Śródziemnomorza, którego ojczyznami duchowymi z wyboru były Grecja i Prowansja, stał się heroldem ponurej religii teutońskiego prymatu.

Jak mogło dojść do tego?

Wysokie — bardzo wysokie — stanowił w literaturze francuskiej zdobył sobie Maurras jeszcze w młodych latach zbiorem szkiców, które ukazały się w wydaniu książkowym z samym początkiem bieżącego wieku p. t. „Anthinéa”. Jest to zbiór wrażeń z podróży po Grecji i Prowansji oraz z muzeów florenckich i londyńskich, w których Maurras występuje jako namiętny apologeta klasycznej cywilizacji hellenistycznej, jej piękna, równowagi, harmonii. Przede wszystkim — piękna.

Klasyczna sztuka grecka jest sztuką bardzo od nas w czasie i w warunkach, z których wyrosła, odległą, stąd mimo swych głęboko ogólnoludzkich wartości w każdym pokoleniu potrzebuje na nowo pośrednika, który by jej wartości umiał przetłumaczyć na język potrzeb duchowych ludzi sobie współczesnych, który by ją umiał związać z życiem duchowym swoich czasów. Otóż dla pokolenia pierwszych lat XX wieku takim przewodnikiem był właśnie Maurras. Umiął zaś ludzi zarażać swoim entuzjazmem, bo pisał w sposób niezwykle sugestywny i urzekająco piękny. Jego styl to jeden z cudów języka francuskiego. Jest to francuszczyzna niezwykle melodyjna, o bogato zorkiestrowanej rytmice, opanowana i muskularna równocześnie. Jest to sztuka słowa spokojna (autor jest przecież klasikiem), ale równocześnie taka, iż pod powierzchnią tego spokoju wyczuć można grające namiętności jej twórcy. Gdyby u nas np. Parandowski swe głębokie zżycie się z kulturą klasyczną i mistrzowskie opanowanie w stylu klasycznego okresu — łączył z temperamentem Nowaczynskiego, mielibyśmy polski odpowiednik Maurrasa.

Maurras wywiózł z Grecji nie tylko entuzjazm dla sztuki hellenistycznej. Wywiózł także i nienawiść do demokracji. Dlaczego? — pytał się ze zdziwieniem Barrès. Maurras tłumaczył, że w obrzydzenie wprawiał go widok walk politycznych Greków i metod, jakich przy tym używają, oraz że rozważania nad starożytną Grecją doprowadziły go do przekonania, iż tylko okresy arystokratyczne mogą być naprawdę twórcze w kulturze.

Rządy z wyboru, — tłumaczy Maurras, — muszą być zawsze rządami, schlebającymi masom. Żeby uniknąć tego niebezpieczeństwa, trzeba wybór elity rządzącej zostawić jakiemuś zorganizowanemu przypadkowi. Najmniej ryzyka (?), — tłumaczy, — będzie wtedy, kiedy będzie to przypadek urodzenia, kiedy sam fakt urodzenia decydować będzie o tym, kto ma objąć władzę. Stąd monarchizm.

Rozwinięcie tej myśli mamy w jego „L'Enquête sur la Monarchie”, biblii monarchistów francuskich. W r. 1898 zakłada Maurras partię monarchistyczną „L'Action Française”. W dziesięć lat później powstaje pod tą samą nazwą dziennik, którego duszą obok Maurrasa stają się Léon Daudet, sławny ze swego ostrego, ale i plugawego języka, oraz Jacques Bainville, publicysta i historyk.

Dziwny to był dziennik i dziwna partia. Partia nie osiągnęła nigdy znaczenia ruchu masowego; egzystowała zawsze na marginesie francuskiego życia politycznego. Ale miała zawsze w swoich szeregach sporo intelektualistów, artystów i pisarzy oraz znajdowała namiętnych zwolenników wśród francuskiej młodzieży akademickiej, stąd zawsze było wokół niej dużo huku i hałasu. Przyciągała ona te elementy inteligencji francuskiej, prze-

de wszystkim młodzieży, którym imponowała swoją skrajną i brutalną krytyką istniejącego układu polityczno-społecznego.

Narzędziem walki partii z Republiką był jej dziennik „Action Française”. Był to jedyny w swoim rodzaju dziennik. Jego serwis informacyjny był nędzny, ale zato numer w numer przynosił pamflety, paszkwile i namiętne filipiki, pisanę przez pierwszorzędnych mistrzów pióra, Maurrasa i Daudeta. Normalnie w brukowcach obsmarowywują ludzi dziennikarze trzeciego i czwartego rzędu, dziennikarze małej pomysłowości, pozbawieni daru inwektywy i rozporządzający bardzo ograniczonym słownictwem. Tutaj zadanie to spełniali tacy mistrzowie pamfletu, których sam Aretino by się nie powstydził.

Republikę zwalczał Maurras przede wszystkim jako esteta. To znaczy, starał się ją przedstawić jako reżim b r z y d k i, reżim przerażliwie płaski, wyrzucający na wierzch ludzi małych, banalnych, szarych. Żadna metoda w zwalczaniu tego reżimu nie była dla niego za niska; nie było takiego paskudztwa, które by uważał za niegodne swego pióra. O Briandzie np. pisało się tam, że to brudas, który się chuchnie nie myje, któremu nogi stale cuchną.

Siłą tej krytyki była jej bezkompromisowość i bezwzględność. Siłą i siabością zarazem. Nie wiążąc się z żadnym stronnictwem, które naprawdę miało znaczenie polityczne i naprawdę na kształtowanie się życia politycznego kraju wpływało, Maurras mógł pisać bez żadnych hamulców, z niczym się nie licząc i nie idąc na żadne kompromisy. Ale też i dlatego właśnie cała jego krytyka była najzupełniej jałowa, szła w pustkę. Krytyka Maurrasa mogła zawsze liczyć na poklask mło-

dzieży, ale przyszło ją drogo opłacać we własnym obozie. Partia monarchistyczna pokłóciła się z pretendentem do korony. Partia programowo katolicka (nie tyle zresztą z przekonania, ile raczej z tradycjonalizmu) została potępiona przez Kościół.

Nie mając oparcia w żadnych poważnych siłach narodu francuskiego, „Action Française” nie stanowiła groźby dla Republiki. Jej działalność była efektywną pianą na powierzchni francuskiego życia politycznego, nie był to żaden prąd, który byłby w stanie urządzić republikańskie sam, bez cudzej pomocy, podmyć. Republika doskonale zdawała sobie z tego sprawę i traktowała występy kamelotów królewskich pobłażliwie. Kiedy odgrązali się, że przeprowadzą rewolucję i pomordują polityków republikańskich, pytano się ich: czym? nożami kuchennymi? Kiedy gorliwi kameloci wypisywali na murach hasło „Vive le roi!”, napisu nie zmywano, tylko zawsze znajdował się jakiś dowcipniś, który dopisywał między „o” a „i” literę „t”. Napis przekształcał się w ten sposób na „Vive le roti” — „Niech żyje pieczeń”. Tylko wiosną 1936 r., w momencie dojścia do władzy Frontu Ludowego, kiedy Maurras napisał w „Action”, że pan Blum nie będzie chyba tak szalony, aby obejmować rząd, bo rozumie przecież, że każdy patriotycznie nastawiony Francuz będzie w takim wypadku uważał za swój obowiązek obywatelski zabicie go, pobłażliwie i trochę ślepej na prawe oko Temidzie francuskiej było już tego za dużo. Maurras stanął przed sądem. W sądzie tłumaczył się, że swój artykuł napisał tylko z życzliwości dla Bluma: chciał go przestrzec przed grożącym mu niebezpieczeństwem. Sąd w życzliwość tę nie bardzo uwierzył, bo skazał go na rok więzienia. Po odbyciu kary

Maurras kontynuował swoją działalność z dawną zawziętością.

Autor tych słów pamięta dobrze jeden z meetingów „Action Française” w Paryżu. Wszystko było na nim osobliwe, począwszy od samego miejsca. Meeting zwołano bowiem do Palais de la Mutualité. Gmach ten był w zarządzie jakiejś lewicowej organizacji, bodaj że komunistów, w każdym bądź razie był on stałym miejscem zebrania komunistycznych. Ale widocznie gospodarze gmachu nie pytali się o przekonania polityczne wynajmującego salę. Przy kasie nowa niespodzianka: — biletów się nie sprzedaje, bo zebranie zakazane przez policję, ale za te same dziesięć franków można dostać imienne zaproszenie: zamiast wiecu urządzono bowiem zebranie „prywatne”.

Otwierał je dłuższym przemówieniem bardzo zadowolony z siebie grubas, Léon Daudet. Po każdym dosadniejszym zwrocie robił dłuższą przerwę, tak jakby się bał, że słuchacze mogą zwrot ten przegapić, czy też że nie będą mieli dosyć czasu na to, żeby się w nim odpowiednio rozsmakować. W pewnym momencie w czasie przemówienia Daudeta cała sala powstała. W pierwszej chwili nie bardzo było wiadomo, na czyją cześć ta demonstracja. Starszy pan bowiem, który właśnie pojawił się na estradzie i zajmował miejsce przy stole prezydialnym, był wyjątkowo niepozorny: mały, przygarbiony, z siwą bródką, wyglądając na jakiegoś zemerytowanego profesora czy prowincjonalnego konsyliarza. Ten starszy pan to był Maurras. Nie przemawiał on jednak na zebraniu. W ogóle unikał zgromadzeń publicznych. Na czynny udział w nich bowiem nie pozwalało mu kaletwo: Maurras był głuchy.

Po Daudecie przemawiał jakiś student. Student był wojowniczy i krwiożerczy. Śmiejąc się z nas, — krzyczał, — podżartowujecie sobie, że będziemy robili rewolucję nożami kuchennymi. Odechce się wam tych śmiechów. Wiedźcie, że gotowi jesteśmy chwycić bodaj że za noże, aby podrzynać gardła mafii republikańskich polityków.

Przybysz z Polski ogładał się na drzwi, gdzie stał „pan władza”. Ale policjant stał spokojnie, skrzyżowawszy ręce pod pelerynką, i nie wydawał się być przejęty tymi groźbami. Twarz jego była tak doskonale beznamiętna, że nie można się z niej było zorientować, czy w ogóle groźby te dotarły do jego świadomości.

Maurras był zbyt inteligentny na to, żeby się nie zorientować, że w tych warunkach cała jego działalność polityczno-publicystyczna degeneruje się w rodzaj cyrku, przed którym każdy chętnie przystanie, aby się występow przyjrzeć (akrobata był dobrej klasy), ale którego nikt nie bierze na serio. Ze przy tym układzie sił, jaki istnieje we Francji, nie ma żadnych danych po temu, aby program jego, program „Action Française”, mógł się urzeczywistnić. Że możliwości realizacji mogłaby stworzyć tylko jakaś interwencja z zewnątrz, któraby ten układ sił zniszczyła. Że — krótko mówiąc — mógłby on dojść do władzy tylko wtedy, gdyby Francja przegrała wojnę.

I z tą chwilą był już psychicznie gotów do zdrady.

Moment samej zdrady przyszedł w roku kłeski, w r. 1940. Wśród kolaborantów byli ludzie różnego autoramentu. Byli tacy, którzy szli na współpracę z ciężkim sercem, uważając ją za smutną konieczność, byli i tacy, którzy traktowali ją tylko jako manewr taktyczny, a nie brak było i takich, którzy współpracowali po prostu z tchórzostwa. Z Maurrasem było inaczej. Poszedł on na współpracę z Niemcami z całego serca, z entuzjazmem, z radością, że oto nadszedł wreszcie jego dzień. Cała żołą, która nagromadziła się w tym namiętnym starcu w czasie kilkudziesięciu lat jego bezpłodnej opozycji, teraz naraz znalazła swoje ujście. Nieważni musieli tu zaważyć i ta okoliczność, że nie jest się bezkarnie paszkwilantem, że paszkwil musi swego autora degradować moralnie. Było w tym także i dużo starczej zawziętości. Było i trochę zastarzałej nienawiści do Anglii (pisząc o swojej podróży w młodych latach do Londynu, chwalił się, że poza salami z greckimi rzeźbami w British Museum nie interesowało go w Anglii nic, ale to dosłownie nic).

I w czasie tych czterech ponurych lat zachowywał się haniebnie: bronił wszystkich potworności Gestapo, denuncjował, domagał się dalszych represji. Nie żaden bolszewik, Żyd czy radykał, ale znakomity poeta katolicki, konserwatysta i zawzięty wróg komunistów, Paul Claudel, kiedy chciano ostatnio postawić jego kandydaturę do Akademii Francuskiej, oświadczył, że nie zgodzi się na to tak długo, dopóty Akademia nie skreśli Maurrasa z listy swoich członków. W czasie okupacji Maurras denuncjował go i domagał się przeciwko niemu represji.

Bogowie surowo zemścili się na Maurrasie za to, że sprzeniewierzył się im dla polityki. Odmówił mu łaski śmierci przed rokiem 1940. Sąd odmówił mu honoru spłacenia swoich win krwią. Spotkała go najcięższa z kar. W ponurej celi więziennej będzie teraz kończył swe dni w przekonaniu, że przeżył sam siebie i że na bezpłodnej polityce zmarnował talent klasyka. Wielkiego klasyka.

TADEUSZ SOWICKI

DZIENNIK POKŁADOWY

Irenie Ch.

W I A T R

Masz szumi wysoką jodłą, —

prosty szum, nieuczony. —

Boże usta do ludzi się modlą,

Atlantykiem, słowem ruchomym:

pokochajcie, gdy wam wystarczy

ziemi, nieba i morza miłości,

wiatr — dzwoniący dzwonkami Stańczyk:

„Chwała mewom na Wysokości“ —

„Sława ustom, które nie zawiodły

w pocałunkach przez tyle lat“.

Oto srebrne, żarliwe modły,

Intenuje hipnotyczny wiatr:

— W imię Ojca wzgardzonych stworzeń,

— W imię cierpień w milczeniu Syna,

— W imię Ducha wzlotów, upokorzeń,

Atlantycka rośnie kantylena:

— Bądź pozdrowiony, pod jodłowym

masztem stojący,

nadmiernie miłujący życie trudne,

wśród braci swoich na pokładzie —

wyspie bezludnej.

P A S A Ż E R

Snem po stokroć wpadał pod śrubę,

w bełkot piany i ultramaryny —

(— zielonkawo patrzyły przez szyby:

złoty delfin, srebrne rekiny).

Jawą mierzył pokład niepewny,

kroków mrocznym, obłądnym rachunkiem, —

(— nad masztami ważył się lot mewy,

— usta przed pocałunkiem).

Teraz patrzy na łódź ratunkową,

ach! — i ona już nie da pomocy.

Cóż wymyślił udręczoną głową?

— Wschód porzucić — szukać Północy.

* *

To, widzisz, bardzo proste, —

patrzyć w dół, wzdluż burt,

woda ucieka, ginie.

I myśleć: było, —

życie, bystry nurt —

— „passé défini...”

To, słuchaj, jest milczenie.

Czas przeszedł dokonany... —

Czekanie na jakimś moście,

burzenie jakiejś ściany,

drżenie.

To tylko kilka sekund,

okruch z całego wieku, —

ślady w sercu,

głębokie koleiny,

i wieczór... antycznie piękny wieczór

— ...passé défini.

B E T E L G E U S E

Porównać Cię do oczu,

świecących w ciemności, —

— za wiele w tym uroku

i nic z żalości.

Nazwać Cię gwiazdą piękną,

Siostrą wilkołaka,

— zmusisz, by na pokładzie ukłęknać,

— każesz płakać.

Zostań gwiazdą pożegnania,

podróżnej lutni i łez,

tak bardzo mi niezbędna,

tak smutnie niepotrzebna —

Betelgeuse.

T R Z Y R Ó Ż E

Dopiero tu, w Gibraltarze,

trzy róże pożegnania

rzucam zgasłe śródziemnomorskim nurtom,

by potem patrząc,

jak fala je pochłania,

krzyknąć strasznie:

Ratunku! — Róże za burtą!!

MARIA KUNCEWICZOWA

ZMOWA NIEOBECNYCH

ROZDZIAŁ IV

CZĘŚĆ II *)

„Dom stoi“. Te słowa z listu Zuzi wdarły się w mglistą rzeczywistość Londynu i rozproszyły ją. Skuteczniej niż lord z bródką, niż ów kiedyś nieznajomy na balu, Zuzia sięgnęła po Zofię i powiedziała: jesteś.

„O to tylko ciebie wszystko troje błagam, żebyś żyła“. Matka Zuzi, zmarła siostra, bardzo inna, wstydząca się uczuć tak dalece, że własne — śliczne — wiersze ukrywała troskliwiej od grzechu śmiertelnego, ta właśnie Marta w rzadkim u siebie przystępie ironii zauważyła przed laty: „Tak często płaczesz, Zoziu, na pewno będziesz dłużej żyła ode mnie“.

W grudniu r. 1943 Zofia żyła. Żyła nawet w sposób mało różny, niż przed wojną. Śpiewała. Miała w Anglii impresariów, krytyków, słuchaczy i przyjaciół. Swoich i zagranicznych. Jak dawniej w Polsce. Ale nie miała domu. Teraz dopiero, po liście Zuzi, zdała sobie sprawę, że jej życie w ostatnim dziesięcioleciu było najściślej uzależnione od domu.

Dom Rudziński nie był rzeczą, zastaną na ziemi, jak rodzice lub powietrze; nie był także „nieruchomością“ — symbolem majątku. Był dziełem Zofii. Jedyną pozycją serio w jej fantastycznych czynnościach. Urodziła się, wzrosła, przeżyła okres małżeństwa w cudzych domach. W mieszkaniach, wynajmowanych na lata i dni. Poprzez tradycję rodzinna przewijała się wieść o własnym domu, gdzie pokolenia następowały po sobie, jak zimy i lata, gdzie słońce i księżyc, co roku zaglądając w okna pod tym samym kątem, były własnym słońcem i własnym księżycem. Mimo to Zofia swojego lokatorskiego stanu nie uważała za przejściowy.

Do Rudzina przyjechała kiedyś na weekend, już po śmierci męża. Na werandzie zjazdu poznała profesora z Górek. Gadali, delectując się miejscowymi daniami. „Pani na długo do nas?“ — „Na dwa dni“. — „Czemu nie na zawsze?“ — „Czy można być gdzieś na zawsze? Szczególnie jeżeli — jak ja, — jest się z zawodu podróżnikiem“. — „Jakąś częścią swojej istoty trzeba gdzieś być zawsze. Trzeba mieć dokąd wracać“. Następnego dnia pokazał jej wielki, zapuszczony ogród na wzgórzu za wawozem i przylepioną doń chatkę. Ta „posesja“ wraz z laskiem brzeziniowym była do sprzedania. Nie wiadomo, czy to wskutek chwilowego zmęczenia, czy mocnego jarzębiaku, czy tych pogańskich uroków, które wleczą się wieczorami po starych sadach, dość, że Zofia kupiła „posesję“. Po roku ogród, nie nie utraciwszy z bujności, odzyskał ścieżki i trawniki, dobór kolorów w kwiatkach i perspektywę wśród drzew. Dom powstał znacznie później i Zofia niewielki udział brała w jego budowie. Wszystkim rządził profesor. Jednak architekt oświadczył: „Dla nikogo innego nie byłbym tego domu zbudował. Tylko pani potrafi w nim mieszkać, jak należy“.

Kiedy roboty ukończono i wieniec wznosił się wysoko nad dachem, Zofia urządziła przyjęcie dla miejscowych ludzi. Książd wodą święconą kropił ściany, robotnicy zakrapiali wódką bigos, radni miejscy wygłaszali mowy. Pachniało świeżym drzewem i farbą, a przecież w pokojach unosiło się od początku za-domowione, przyjazne powietrze. Zegnając gości, Zofia po raz pierwszy poczuła się na dobre mieszkanką swego kraju. Słowo „sąsiedzi“ nabrało biblijnego sensu. Słowo „Polska“ opuściło chmury i osiadło w Rudzinie. Na wieczór tylko profesor został z Zofią. „Już miesiąc wzeszedł, psy się uspiły i coś tam klaszcze za borem...“ Zaczęła śpiewać. Jedną za drugą dawne i nowe pieśni, które dotąd wypływały tylko z epok i ze stylów, płynęły wprost z serca w noc tę samą, co kiedyś w Żelazowej Woli tłumiła głos Justyny, czuającej nad snem Fryderyka. Profesor, przyrodnik i socjolog, — westchnął, słuchając: „Tak... Muzyka ma koronę w niebie, a korzenie w ziemi...“

Ale dom Rudziński, przez to, że określił miejsce Zofii na ziemi, nie tylko nasycił jej śpiew spokojem i naturalnością. Wszystkie sprawy, które od chwili jego powstania wkraçały w życie śpiewaczki, rozwijały się źle albo dobrze, w zależności od tego, czy dom odrzucał je, czy przyjmował za swoje. Dawniej np. Zofia niezbyt pilnie podtrzymywała stosunki rodzinne. Odkąd pod jej własnym dachem otworzyły się tyle okien, tyle katów przytulnych zapewniło wesołość i spokój, — rola krewnej spadła na nią nieodwołalnie, jak wyrok losu. „La zia divina“, — mówił o niej Marco Gaetanni, myszując po pełnych szpiarniach. Zakochał się w domu, zanim jeszcze Kire pokochał. „O ileż wyższą istotą, — dowodził, — jest ciotka od matki. Wolna od zwierzęcych przymusów, wcielone pobłazanie, geniusz sympatii i bezinteresowności“. Tak, dzieci siostry dom przyjął od razu za swoje.

Aleksander... Odczytując list Zuzi, Zofia głęboko się zamyśliła. Czyżby to dom odpędził od niej Aleksandra? Michelin bardzo lubił Rudzin, ale domu z początku unikał. „Chodźmy między drzewa, skoro już przyjechalismy na wieś“, — mówił. Kira i Zuzia onieśmiały go, — były za młode na jego przecielone nerwy, zbyt pytająco patrzyły

na ludzi, wiedząc jednocześnie zbyt wiele rzeczy „na pewno“. Dom zaś był za duży i za jasny. „Poco ci tyle pokoi? — narzekał, — ileż to czasu minie, zanim one wszystkie napełnią się wspomnieniami! Czy zdążysz kiedykolwiek spać, co jest za każdym oknem? I w takich jasnych pokojach człowiek boi się myśleć“. Urządziła mu pracownię z północnym światłem. Wtedy właśnie zaczął malować w plein air'ze. „W pracowni musi być brudno, a w twoim domu nie może być brudno, — twierdził — Ja jestem brudas i wódczuga“, — przechwalał się innym razem. Dopiero po pamiętnej wspólnej bytności w kościele zainteresował się Rudzińskim gospodarstwem. Kupował rolety, studiował katalogi ogrodnicze... Najwyraźniej zażyłość z domem miała stanowić część wtajemniczenia w nowe życie, o które prosił Zofię. „Ja zrobię wszystko, co każeś...“ Czy kazała mu zamieszkać w domu? Nie. Nie zrobiła tego ze strachu, że dom nie zdoła Micheline oswoić. Że Michelin zatruje go swoim niepokojem, smutkiem, wybuchami radości tak ostrej, jak ból.

....W domu czysto, choć obrzydłe... Jak ty wrócisz, znów będzie cudownie“, — pisał Zuzia. Profesor powiedział: „Trzeba mieć dokąd wracać“. Ale pocóż było wyjeżdżać w tym strasznym polskim wrześniu? Zofia nie mogła się teraz sobie nadziwić, że postąpiła wtedy tak, jak gdyby domu nie było. Jak gdyby na świecie były tylko sale koncertowe i muzyka. Profesor, którego jedna książka drukowała się wówczas w Cambridge, a druga w Nowym Yorku, Górek nie opuścił. Alarm trwał w Warszawie... Samochód Zofii stał przed kamienicą, w której wynajmowała mieszkanie, przechodnie spoglądali na niebo żarliwie, jak w czasie burzy letniej, bomba trzasnęła w pobliżu, córeczka dozorczyńni wybiegła z bramy, w chmurach pyłu i swędoła rzucała się pod drzewo na skwerze, gdzie, — zostawiona tam przy pierwszym ryku syreny, — siedziała jeszcze lalka. Zofia czekała na Zuzię i Kirę. Krawcowa teatralna Zenobia, stojąc przy maszynie, mówiła: „Sensu nie ma, żeby pani siedziała w tym bałaganie bez pomocy. Bomby pyrgają... Od samego kurzu pani szanowna głos straci. Co innego ja; na pensji miesięcznej człowiek pracuje, nie pracuje, forszę wyłoża na pierwszego“. Robiło się późno, dziewczynny nie przychodziły. Wreszcie zdyszana Zuzia przybiegła z walizką. „Zabierz srebro mamusi do Rudzina. Nie możemy jechać. Ja już pracuję w szpitalu, Kira jest za szoferkę w Lidze Powietrznej. Przyjedziemy, oczywiście, jak zwykle, sobota wieczór. Do widzenia!“ Zatrzasnęła drzwiczki. Samochód ruszał, kiedy Zenobia wsunęła jeszcze głowę do środka: „Bardzo przepraszam, jak będzie z bluzeczką?“ Zofia włożyła jej do ręki klucz od zatrasku. „Niech pani idzie na górę i weźmie sobie jakąkolwiek bluzkę. Wiszą w narożnej szafie.“ Dośladnie w dwie godziny później narożna szafa przestała istnieć razem z całą kamienicą i z Zenobią, która zbyt długo wybierała darowaną bluzeczkę. Jej pensja na pierwszego została niepodjęta. Ani Zuzia, ani Kira w sobotę nie przyjechały „oczywiście“.

Mijają lata wojny... Srebro Marty służy Niemcom. Dom stoi. A lord z bródką przestrzega: „Jeśli odrzucimy ciężar obecności, sami przemienimy się w nieobecnych, przemienimy się w cienie.“ Sama przemieniam się w cień, — myśli Zofia. — Kto inny w Polsce podjął za mnie ciężar obecności. Zenobia, spalona na popiół, unosi się w powietrzu Warszawy. Profesor pisze w Górkach nową Utopię lotniczo-syndykalistyczną. A może nie nie pisze? Może tylko chodzi po miastach i patrzy... Kira kocha się. Krzysztof walczy. Przerazony ludźmi, Aleksander kolekcjonuje wspomnienia. Zuzia donosi: „Wierzę, że można będzie zapomnieć“. Zapomną więc i któregoś dnia staną w bramie Rudzińskiej wypatrywać powrotu ciotki. „Panie i panowie, — mówi lord, — nieobecni wabią nas, wabią w swoje siła... Nie dajmy się zwabić“.

Zofia podchodzi do lustra. Utyłam trochę, — stwierdza. Telefon dzwoni. „Halo, jestem, — odpowiada Zofia. — Tak, to ja. Jak dobrze, że dzwonisz, przez chwilę zdawało mi się, że jestem cieniem. Przyjdę. Dobrze; zrobię to i wiele innych rzeczy. Nie, Henryku, nie będą ciebie nazywać Michelin. Czy black-out naprawdę? To świetnie. Do widzenia“.

Jedną z wielu rzeczy, które Zofia postanowiła teraz zrobić, był z dawną odkładany koncert.

W ostatnim roku humor śpiewaczy, to łaskawe równe usposobienie, płynące zarówno z dobrego zdrowia, jak z nieugaszonej chęci wzruszeń, przestał dopisywać Zofii. Pojawili się przewlekłe chrypki, głos zmatowiał, nie pomagały lekarskie zabiegi. Zofia ze strachem podchodziła do fortepianu: jej sopran liryczny raz okazywał się mezzo-sopranem, raz — sopranem dramatycznym; cała miękkość średnicowej skali zanikała. Zaczęła zmieniać repertuar. Ale nowa barwa głosu nie wyrażała uczuć, zawartych w nowych rolach i pieśniach, — była czymś przypadkowym, a także niestałym. Wyglądało na to, że organizm szuka własnym przemysłem

sposobów przystosowania się do obcego klimatu; natomiast motor, zwany duszą, przestał funkcjonować, i dźwięki muzyczne, uformowane w gardle śpiewaczki, utraciły magiczny sens zwierzenia.

List Zuzi przełamał zią pasę. Nazajutrz po jego otrzymaniu Zofia zaśpiewała „Piosenkę litewską“ Chopina, tak jak gdyby czystość i słodycz kantylen nie ucierpiała nic na wojnie. Stary Włoch, z którym pracowała w Anglii, patetycznie wykrzyknął: „Nareszcie! Il amor sacro odnalazł drogę do tego serca z lodu!“ Próba ze sławnym kapelmistrzem udała się. W zastępstwie amerykańskiego skrzypka, którego clipper ugrzązł na Bahamach, występ Zofii w jednej z wielkich hal koncertowych Londynu wypadł nad spodziewanie szybko.

Jak zwykle na niedzielnych, popołudniowych koncertach, było pełno i kolorowo. Moda kobieca, bardzo wskutek wojny wyjątkowa, w tym sezonie faworyzowała odcienie przylaszczek i bordeaux'skiej czerwieni. Tweedy mężczyźni, spowiati od długoletniego użytku, wsiadali w tę gamę, nie wnosząc dysharmonicznych efektów. Olbrzymia sala wyglądała zatem jak łaka elizejska, zbroczona krwią. Jakieś dziwne architektury napowietrzne, — ekrany, kolumny i fryzy z papieru maché, — unosiły się nad estradą dla celów akustycznych. Organ w głębi przypominał chóry anielskie. Zgromadzenie było tak bezinteresowne, że nawet głosnik raził, a gazety, wyglądające z kieszeni, nasuwały myśl o wyścigach chartów i o kiermaszach dobroczynnych, nigdy zaś o żółtej śmierci w Burmie, czy o bombardowaniu Kilonii. Rodziny zasiadały w łozach, studiując programy, dziewczynki podniecone, chłopcy uważni, matki syte szczęścia, ojcowie, — często starszawi, — pełni poczucia odpowiedzialności za ten dzień niedzieli, o który już dwadzieścia lat temu zwycięsko walczyli. Lotnicze mundury trudno było wyodrębnić z przylaszczkowej fali, wojsko khaki zlewało się z burymi tweedami, tylko gołe szyje marynarzy występowały z tła. Blisko estrady pod ścianą białała gręda korzetów siostr Czerwonego Krzyża, stała załoga miłosierdzia na wypadek udanego nalotu. Suma rzeczy strasznych, o których musieli zapominać ci, co to przychodzili, była na pewno wysoka. Wielu przyszło niemal bezpośrednio z miejsc, gdzie patrzyli na śmierć młodych kolegów, niezagodzona żadnym narkotykiem, a ich własna śmierć, — taka sama, — ominęła ich tylko dzięki przypadkowi. Inni przybyli z pustki. Z osieroconych mieszkańców, z ruin albo z klubów i hoteli, gdzie przy kominkach celebrowali się wiecznie obrząd samotności. Jeszcze inni od pracy, którą przestali lubić, bo przestali wierzyć w człowieka. Do tych miejsc wszyscy mieli niebawem powrócić. Mimo to nastroj był pogodny i tylko niektóre twarze zdradzały pragnienie, by rzeczywistość straciła wreszcie sens zbyt jednoznaczny.

Program koncertu stanowił zaprzeczenie eklektyzmu. Muzykę podawano publiczności nie podług jakiegś recepty estetycznej, czy historycznej, tylko jak menu odświętne ulubionych potraw. Zofia często zastanawiała się nad tym, co kieruje smak angielski do tych właśnie, a nie innych utworów. Zapewne przypadek, szybko wciągnięty do rejestrow tradycji, — myślała. Jak wszystkie przypadki, wynika on pewnie z irracjonalnych praw atrakcji; geniusz zaś anglosaski najchętniej chyba asymiluje zachęty do życia. Stąd tak popularne ekstrakty, — owe dowolne potpourri, mające na celu wyławianie pierwiastków radości, siły, albo przynajmniej spokoju. Stąd opór przeciwko głębiom Beethovena, predylekcja dla Schuberta, podziw dla Wagnera, słabość dla Smetany. Zofia odniosła kilka sukcesów, śpiewając w małych salach Poulenc'a, Ravel'a Honenera, czy też wyjącznie Wolffa. Snobizm elity w Londynie był dość wszechstronny, by od czasu do czasu zapewnić powodzenie eksperymentalnym wieczorom muzycznym, poświęconym ironii, czystemu artyzmowi, czy też nadmiarom uczuciowym, które prowadziły do śmierci. Na każdym tak-że dobrym koncercie spotykała kilkunastu ludzi, zapamiętałych w obcowaniu z Muzyką, żywiołem, który był ich międzynarodową ojczyzną. Ale ani snobi, ani melomani nie formowali gustu wywalców Albert czy Queen's Hallu i Zofia, uparłszy się śpiewać na poranku arie Melisandy z „Pelleasa i Melisandy“ Debussy'ego, mało znaną w Anglii i tak bardzo niezmienną, czuła wielką treść.

Orkiestra grała teraz „Reminiscencje z Czajkowskiego“, gdzie finały symfonii, fragmenty uwertur, pomieszane z pieśniami i tańcami, tworzyły bukiet melodii o podniecającym obcym charakterze, ułożony jednak w ten sposób, aby niepokój nie przyciemnił wesołych barw i rytmów. Numer Zofii miał być po przerwie następny z kole. Siedziała w zimnym pokoju artystów, pachnącym myszami, i myślała o tym, żeby dobrze wymawiać „th“. Wielka masa dźwięku, która płynęła z estrady, izolowała ją od świata. Podeszła do najbliższej kulisy i spojrzała na salę. „Ach, tylko ten, kto wie, co tęskni znaczą, zrozumie moją pieśń i jęć rozpacz...“ (None but the weary heart), zawodziły wiolonczelce, a kapelmistrz, dyrygujący bez pałeczki, złączył dłonie i uniósł w górę, jak misę ofiarną, na któ-

rej dnie broczyło owo „serce, zmęczone tęsknotą“. Publiczność uważnie śledziła jego gesty. Niektórzy przymknęli oczy, by głębiej wczuć się w tragedię tęskniącego cudzoziemca. Widocznym było, że obcy ból sprawiał ulgę, jako odprężenie po własnych troskach. Ale w miarę jak pieśń wzbierała patosem, zdążając ku wyżynom coraz ostrzejszym, tłum sztywniał i zamykał się w sobie. Niski finał, pełen rezygnacji, przyjęto bez westchnienia; natomiast trepek, który nastąpił po tym, wywołał reakcję spontaniczną, — twarze natychmiast rozjaśniły się i znów pogodziły z obecnością.

Zofia wróciła na fotel, niezmiennie znuzona. „W Londynie liczba nieobecnych, to cała bezsilna ludność kontynentu...“ Poczuła na barkach ciężar, niemożliwy do zniesienia. Śpiewała tutaj, dla tych pogodnych i silnych, w imieniu tamtych, dniem i nocą nekanych przez furie? Jakiż trud daremny! A zresztą kimże jest ona, której czerwona suknia znosiła się już i zszarzała, kim jest, aby narzucać się światu w roli mentorki spraw najzawilszych, bo niematematycznych?

„Excuse me, Madam“, — powiedział kulawy woźny. Przeszedł obok niej, zmierzając do korbry, regulującej opuszczanie się wielkiego transparentu z napisem „Air-Raid“. Drugi podskoczył za nim: „Czy był alarm?“ — „O, tak. Nie słyszałeś syreny?“ Zofia wyjęła słuch... Orkiestra grała ostatnie takty ze „Śnieżki“. Melodia, pełna feerycznych płasów płynęła falą niezmąconą jak pełnia księżycy. Zerwały się burzliwe oklaski. Co oklaskiwano? Piękność, śpiącą na śniegu wśród północnych elfów, czy syrenę, która oznajmiła wyciem ogień z nieba?

Członkowie orkiestry zaczęli napływać do pokoju. Mile podnieceni, jak gdyby chodzili tylko o niedzielną cup of tea, a przecież teraz, — kiedy ucihała ich muzyka, — grzmoty artylerii i warkot samolotów aż nadto wyraźnie było słychać. Człostowali się papierosami, zapalali je, flecista zabrał się do dmuchania w swój instrument i przeczyszczając go specjalnym przyrządem. Starsi panowie od perkusji żartobliwie uderzali w talerze do ciast, harfiarki, — tak ważna dla Zofii, — nie przestając masować sobie dłoni, udała się do foyer na randkę z mężem. „Czy dużo ludzi wyszło?“ — zapytał kapelmistrz. Woźny pokuszył się na korytarz. Po pewnym czasie wrócił z raportem. „No, sir. Wyszli tylko do bufetu, w szatniach nie ma ruchu“. Pito więc także w pokoju artystów herbatę i zagryzało sandwicze. Kilka bomb obwiesiło światłem swój niedaleki przelot, kinkiet ze szklanymi wisiorami skakał i dzwonił, dwa razy zatrząsły się ściany. Nikt nie zwracał uwagi na znaki obrzędowe wizyt nieżyczliwego lotnictwa. Jedynie drugie skrzypce, — młoda blondynka ze spiczastym noskiem, westchnęła uśmiechnięta: „Jakie szczęście, że Jim jest dzisiaj w domu! Mam nadzieję, że zaniósł baby do kąta pod schodami...“ Zofia piła mleko, zerkając w nuty, nieznacznie wybijając rytm stopą. Nagle ciężko oprawny zeszyt przechylił się i spadł z pulpitu na podłogę, a wielki kawał tynku grzmotnął w stół prosto na filizanki. Kilka osób znalazło się na ziemi, wiolonczela beknęła gdzieś żałośnie i miedzie wrzasnęły. Huk defonacji był tak głuchy i wielki, że raczej drżeniem tydek i skurczem żołądka dał się odczuć, niż słuchem. Kurz napełnił gardła i oczy, ale światła zgasy nie wszystkie. Kapelmistrz wyskoczył na schody, basista pobiegł na estradę. „Sala w porządku“, — obwiesił niebawem. Na korytarzach — po sekundzie wielkiej ciszy — ruch wzmożił się. Przez otwarte drzwi widać było siostry Czerwonego Krzyża, pędzące z noszami. „W sąsiednim domu sporo zabitych, — ktoś przynosił nowiny. — U nas się oberwała klatka schodowa, prowadząca z galerii w boczną ulicę, dlatego część światła posza...“ „Żadnych ofiar wśród publiczności. Tylko kilka osób dostało szkłem. Jeden szok. To wszystko“. Kurz osiadał. Kanonady, ani motorów nie było słychać. Jednak alarm trwał. Woźny pojawił się znowu. „Dużo publiczności wraca na salę, Sir“, — zameldował kapelmistrzowi. Ten poszukał oczami Zofii. „Jak pani się czuje? Może pani śpiewać?“ Spróbowała oddechu. Diafragma działa bez zarzutu. „O, tak, mogę śpiewać“. — „Wobec tego, panie i panowie, — zwrócił się do orkiestry, — koncertu nie przerywamy. Instrumenty w porządku? Wszyscy są?“ Do woźnego: — „Proszę sprawdzić na estradzie, czy harfy dobrze stoją i partytury rozłożyć“. Orkiestra chwyciła instrumenty, czyszczono ubrania, przyczyszyano zakurzone włosy. „Mrs. Brown! Gdzie jest Mrs. Brown?“ — nie było harfiarki „Poszła do męża, — przypomniał ktoś, — do palarni“. Młodszy woźny wypadł na poszukiwania. Teraz dopiero Zofia poczuła paraliżujący strach. Bez akompaniamentu harfy aria Melisandy traciła cały blask, stając się piaskim monologiem... Drzwi skrzypnęły, posłaniec wsunął się do pokoju. „Ten jedyny szok, to Mrs. Brown, — powiedział. — Zabrano ją do szpitala“. Ktoś syknął, więc chłopiec pośpieszył z pociechą: „Podobno za kilka dni Mrs. Brown będzie zupełnie o'key“.

Kapelmistrz stał pochmurny pod lampą. Z sali dochodził szmer tłumy, tu i ówdzie odzywały się prowokacyjne oklaski. Skrzypkowie pytająco patrzyli na Zofię. Szukała nerwowo czegoś w tece, naraz wyprostowała

(Dokończenie na stronie 9-ej).

*) Por. nr. 24 (42), 1 (43), 2 (44), 3 (45).

ZMOWA NIEOBECNYCH

(Dokończenie ze str. 8-ej)

się i — rozjaśniona — podała kapelmistrzowi zeszyt pieśni Chopina. „Melisandy w tych warunkach śpiewać nie mogę. Ale niech ktoś zaakompaniuje mi to na fortepianie“, — wskazała „Piosenkę litewską“. Wśród orkiestry zapanowała konsternacja, a także i dyrygent trzymał w palcach niespodziewany zeszyt ostrożnie, jak rzecz zatrutą. Wrodzona Anglikom niechęć do improwizacji, do ryzyka, do nowości zmroziła wszystkie twarze. Jednak sytuacja wymagała szybkiego rozwiązania, — szmer na sali nabierał tonów nieprzyjemnych. Pierwszy zdecydował się klar-necista. „Ja mogę zaakompaniować. Znam dobrze fortepian i znam te pieśni“. Sięgnął po nuty, a może i po lepsze szanse swego życia, i już szedł w kierunku estrady. „Kto zapowie?“ — wyrwał się pan od bębna. Kapelmistrz stracił inicjatywę. „W takim razie ja to zrobię“, — pan od bębna skwapliwie wyprzedził akompaniatora. „Chodźmy jednak wszyscy na estradę“, — kapelmistrz odzyskiwał swolna poczucie rzeczywistości. Po chwili pokój opustoszał i Zofia usłyszała najpierw nagłe uciszenie się, później słowa, wyjaśniające zmianę programu i zapowiedź: „A Polish Song by Chopin“. Była jeszcze za kulisami, kiedy pierwsza fraza pieśni już wypełniła tak całkowicie jej wyobraźnię, że wszystko nakoło przemieniło się w bezkształtne cienie i jasności. Momentu wyjścia na estradę nigdy później nie mogła sobie przypomnieć. Akordy fortepianu napływały z głębi poza nią, z bardzo daleka, — znajome i miłe.

Skądże to, — pytam, — powracasz, córeczko, Gdzieś swój wianeczek na głowie zmaczała?

Stojąc przed tłumem angielskim, niespokojna jak matka o los córek, które dom rodzinny opuściły przed świtem, Zofia pytała niebieskooką Kirę i ciemną Zuzię o dzieje godzin zbyt wczesnych na pracę, dziewczęcych godzin przebudzenia :

Kto tak raniuchno, raniuchno
Musi, musi wodę nosić,
Nie dziw się, że może swój wianeczek zrosić...

Zródła tej skargi na los i na własną naturę były w sercach dziewcząt, wyrwanych przez wojnę ze snu pod bezpiecznym dachem. W ich to imieniu ta sama Zofia dawała odpowiedź wykretną, a tak prawdziwie świadczącą o przymusach życia :

Ej, zmyślasz, dziecię! Tyś zapewne
W pole z twoim młodzianem w zawody pobiega...

Owieczny dialog macierzyństwa i młodości, — strach przed czarami rośnącego pola, które tak łatwo polem walki się staje. Wreszcie: Prawda, matusiu, prawdę wyznać wolę, Mojegom w polu młodziana spostrzegła. Kilka chwil tylko zeszło na rozmowę, Tymczasem wianek zrosił się na głowie. Oto i nieszczerza skrucza młodych, — ja-mużna dla starego wieku.

Zofia śpiewała bez wysiłku i bez pamięci o tekście. Znacznie później zdała sobie sprawę, że śpiewała po polsku... I fortepian, i sopran w pustawej hali brzmiały zwiennie, choć dźwięcznie. Polskie słowa iskrzyły się i gasły tajemniczo pod mroczną kopułą. Na tle niemej orkiestry ta pieśń dalekiego kraju, zabłąkana między londyńskie ruiny, niezrozumiała, a tak bardzo poufna, przemawiała do zmysłów językiem irracjonalnym, jak zapach. Czym się to działo, że milczano nabożnie, że uszy, ogłuszone bombami, chciwie chłoniły melodię nikłą, archaiczną, jak arkaadyjski flet?

Zofia nie starała się wzruszyć tutejszych słuchaczy. Obojętna na wszystkie poza muzyką, myślami przebywała w Rudzinie. Głowa profesora, zasnutą zmierzchem, na tle okna, daleki skrzyp wiadra u studni, śmy w koło świecznika, chłód od rzeki, liliiwie kadzidło, Polska... — tacy byli rzeczywistości świadkowie jej pieśni. Jednak, kiedy skończyła, cisza nie od razu ustąpiła oklaskom. Przez sekundę coś falowało nad tłumem, niczym żywy oddech, zrozumialszy niż wszystkie wyrazy, chyba oddech niezmówionej przyrody. Oklaski zaś, kiedy wybuchły, nie były zwyczajne: szybkie, zdyszane, zaciekłe, tak uparte, jak gdyby chodziło o przetrzymanie burzy wewnętrznej, która powstała z zamierzających wspomnień i z przeczuci, gromiąc spokojowi bardziej od nieprzyjacielskich lotników.

Wielokrotnie przywoływana, Zofia zaśpiewała jeszcze „Gdybym ja była ptaszkiem z tego gaju“. Tym razem żywy rytm i błyskotliwa wstawka koloraturowa pochłonięły uwagę publiczności. Uznanie dla śpiewaczki było w rezultacie jeszcze większe. Ale moment wtajemniczenia w sprawy nietutejsze nie wrócił.

Wieczorem, stojąc przy oknie swego pokoju i, jak zwykle, gadając w duchu z urojonymi sędziami, Zofia oświadczyła pod adresem lorda z bródką: „Dziś b y ł a m obecna w Londynie“. Później — w stronę profesora: „Jakaś częścią mojej istoty z a w s z e j e-stem z wami“. Spuściła rolety. Bez strachu, bez smutku została sama w ciemności, jak we własnym domu.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Maria Kuncewiczowa

MARIA BRZESKA

PRAWDZIWY KURIER

Ludzie z Angers, potem ludzie z Londynu... Przybywali do Kraju tajemniczymi szlakami, o których nie wolno było wiedzieć, o których, — zdawało się, — sami nie wiedzą. Czasem, gdy ogłaszano alarm w Warszawie i nie słychać było eksplozji, wyglądało się przez okno, stwierdzając... żywe bomby!

Byłam w tych czasach w Warszawie. Jakże biło serce przy otwieraniu drzwi — na znak... Jakże by się chciało ugościć, jakim najlepszym słowem przyjąć chłopca ze smiertelnym nierzaz zmęczeniem w oczach, znaczonego powagą, bliską śmierci.

Jeszcze niedawno był, tam... — wśród wolnych, wśród tych, od których czekamy na znak i radę, — przyszedł z dobrej woli dzielić z nami gorzki chleb strachu, męki upokorzenia i ciągłej walki. Gdy po czterech latach znalazłam się w Londynie, było mi aż dziwno spotykać tych samych ludzi, zwyczajnych, dyktujących maszynistkom długie raporty, ludzi, z którymi można już było mówić o rzeczach krajowych, jak o historii, nie obawiając się zdradzenia nieaktualnych już punktów granicznych, czy techniki fałszowania dokumentów.

Wielu z nich straciło przy bliższym poznaniu urok romantyzmu, który ich otaczał w Kraju, są i tacy, którzy nie wytrzymali psychicznie ciężaru wielkiego dokonania. Uwierzyli we własną wielkość, — sprzedają ją za drobne przywileje, za śmieszne okrucieństwa. Czasem umięją aż nadto dobrze wyzyskać swój atut pochodzenia krajowego. Kariera, intryga polityczna, — tak się to łatwo udaje przy powołaniu się na... święty głos Kraju!

Mówi się często: — kurier pełni służbę żołnierza na froncie, — to mało. W służbie żołnierskiej człowiek jest zdany tylko i wyłącznie na siebie. Nie starczy odwagi, — trzeba wielkiej przemysłowości. Tylko ludzie niezłomni wewnętrznie wykonywują bezbłędnie swoje zadania. Trzeba charakteru, aby nie dać się upoić haszyszowi gry, nie poddać się narzucającej się ze wszech stron bohaterskiej pozie. Nie starczy być bohaterem, trzeba umieć wyrzec się tego pojęcia bez reszty, wypełniać zadanie.

Dwóch takich znam ludzi. Jednym z nich był Jan Karski. Karski w Londynie cichy, opanowany, ważący słowa, hamujący uczucia, z tym samym umiarem wykonywujący swą ważną robotę wśród Anglosasów, jak tam w Warszawskiej Delegaturze, na krakowskich „punktach“. Była dokoła niego w Polsce aura, — płynąca może z przejęcia się zadaniem, może z najgłębszej religijności katolicyzmu bez kompromisów. Było promieniowanie wewnętrzne człowieka, który zrobił swoje aż do końca, który umie być wierny do słowności — do śmierci.

Przyszedł tu z Hostią Przenajświętszą na piersiach, przyszedł mówić prawdę.

Mieliśmy kiedyś wspólny referat wobec ludzi starych, poważnych prawników alianckich. Słuchałam opowiadania Karskiego, jego skromnej, nie błyskotliwej angielszczyzny, słów bez cienia tak częstej u mówcy chęci podobania się. Mówił cicho, znużonym głosem rzeczy, które były mi znane, rzeczy nieraz przeżyte przeze mnie.

Było coś tak fascynującego w formie podania, w najbardziej ludzkiej szlachetności ujęcia, że po referacie zapanowała cisza, której

nikt nie mógł przełamać.

Byłam zadowolona, że przez „niewieści przywilej“ mówiałam pierwszą. Po tym, co powiedział Karski, nie potrafiabym nic już zrobić.

Z największą radością dowiedziałam się, że ten aż przesadnie skromny człowiek odniósł w Ameryce sukces zupełnie bezprzykładowy. Karski, który przed wyjazdem z trudem i oporami pisał dla „Polski Walczącej“, wydał w Ameryce gruby tom o ruchu podziemnym pod tytułem „Story of Secret State“.

Książka została wyróżniona przez Book of the Month Club, co jej automatycznie zapewniła sprzedaż w prenumeracie 350 tysięcy egzemplarzy i istic amerykańską reklamę. Wychodzą specjalne broszury, zawierające kilkadziesiąt recenzji najwybitniejszych publicystów. „Life“, sprzedawany w dwudziestu milionach egzemplarzy, umieścił z tej okazji dziesięciostronicowy artykuł Karskiego o Polsce. Pisma amerykańskie i kanadyjskie zamawiają jego artykuły. „Story of Secret State“ będzie wydana w Anglii, Szwecji, Szwajcarii, Portugalii i Brazylii.

Najważniejsze pisma zamieściły entuzjastyczne recenzje, portrety i życiorysy autora. Może cała „amerykańskość“ tego sukcesu nie bardzo harmonizuje z osobowością Karskiego, ale korzyść dla naszej sprawy jest wprost proporcjonalna do powodzenia książki.

Publicyści i dziennikarze stwierdzają na podstawie książki Karskiego: „Nigdzie na świecie nie ma tak zorganizowanego państwa podziemnego“. Poprzez książkę tę zrozumieli układ polityczny kraju, ciągle jeszcze dla Amerykanów mało znanego. „New York Times“ pisze o rządzie premiera Mikołajczyka. „Jest to koalicja czterech największych polskich partii politycznych i stąd dużo bardziej demokratyczna od przedwojennego rządu pułkowników“. Przeniknęły do prasy szeroko wiadomości o tajnym ruchu wydawniczym w Polsce, o podziemnym nauczaniu, o sabotażach i nieprzerwanej walce.

Uznano we wszystkich prawie recenzjach jedną z najbardziej charakterystycznych cech osobowości tego prawdziwego kuriera, — jego bezstronność: „Bez dramatyzowania, bez szowinizmu, opowiada o budującym poświęceniu i ofiarności narodu polskiego“. Poprzez książkę Karskiego, „człowieka, który był w piekle“, prasa amerykańska ujrzęła wizję Polski demokratycznej.

Stos amerykańskich gazet, — spośród gestych szpalt druku zamyślone oczy, „kuriera gen. Sikorskiego“, jak go nazywa jeden z dzienników. Zrobił dobrą robotę. Powiedział swą prawdę o Polsce tak dobitnie, że usłyszano go w całym świecie. Powiedział ją najprościej, wedle instrukcji, wydanej mu przez Stanisława Mikołajczyka: „Niech pan opowie wszystko. Niech pan poda wszystkie informacje równie spokojnie i równie obiektywnie, jak w sprawozdaniach oficjalnych do nas. Niech pan opowie wszystko, co pan widział i słyszał. Niech pan poda fakty, a pozostawi już ludziom wyciągnięcie wniosków“.

Prasa amerykańska wyciągnęła wnioski, będące najpikniejszą dla Karskiego nagrodą: „New York Herald Tribune“ tak kończy swój artykuł o książce: „This people shall not perish from the earth“.

WŁADYSŁAW JAWORSKI

RUTH

Henrykowi Panasowi

Już moja śmierć zdjęła rękawiczki ze szkła i krajobrazy nowe, lecz wiekiste, rodzą się z ziaren rozległej muzyki. To tam kościoły Jerozolimy i ich wonna ochłoda, gdzie anioł odchyła czasu zasłonę i samotny obłok odzywa się dzwonem, to tam ku sinym drzewom Kidronu tyś szła.

Nad murem drzemie kalifowego miecza błyskawica, południe obdarzyło bramy nieznanymi mi kwiatami. Grecki mnich na schodach, żebraczka w czerni i handlarz owoców z osiołkiem — tych troje także ku gajom wzburzonemu toczy twoje miasta olśniewająca ulica.

Twoja smagła ręka przytrzymuje kapelusz słomiany, na nim wstążka chabrowa. Kroczysz, ruda Ruth, ruda Ruth, w butnym pochodzie, obniżasz dojrzały horyzont i wieczorne powietrze wyjawia profil twych biodr.

O, Ruth ceglastowłosa, ja jeden ugłaskam szaleństwo, czas nasz kończąc, a będzie to na nieistniejących dla pielgrzymów asfaltowych szosach, bo oni zamiast dachów i śmietnisk zbyt wielu świętych widzą, limuzyny żydowskich bankierów uwiozą twej sukni swobodnej zapach i niebo wędzące w różowym srebrze pończoch.

Jest patos miłowań, wyższy nad twoje ciało, nawet nad wielkość rzeczy, które mój smutek pochwała, kiedy świecisz przeciw pustynnym księżycom wiosną przedwcześnie skamieniałą.

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE“
ukazały się następujące książki :

MICHAŁ BOBRZYŃSKI

DZIEJE POLSKI

Tom II
Cena 400 milsów.

WŁADYSŁAW CHOMA

TOBRUK-GAZAŁA

Cena 180 milsów.

ROMAN FAJANS

WŁOCHY-1944

Cena 200 milsów.

TEODOR PARNICKI

SREBRNE ORŁY

Tom II
Cena 300 milsów.

ST. PLESZCZYŃSKI — T. SOWICKI

GARDEN PARTY

Sztuka w czterech aktach
Cena 180 milsów.

BOLESŁAW PRUS

LALKA

Tomy I-IV
Cena całości 800 milsów.

W D R U K U :

SZYMON ASKENAZY

KSIAŻĘ JÓZEF PONIATOWSKI

POLONICA W KSIĄŻKACH ANGIELSKICH

Wielka Brytania, traktat wersalski a Polska

Public Opinion and the Last Peace by R. B. McCallum, Fellow of Pembroke College, Oxford — Londyn, Oxford University Press, 1944. Str. IX i 11. i 214.

Nowa książka McCalluma omawia stosunek brytyjskiej opinii publicznej do traktatu wersalskiego, ukazuje, jak twarda decyzja z r. 1918 ustąpiła miejsca znużeniu, wątpliwościom, niezadowoleniu, — by wreszcie przekształcić się w sympatię dla zwyciężonego, z którą szło w parze całkowite niezrozumienie szlusznych żądań Francji.

Francję atakowano za nacjonalizm, militarystę i za sojusz z takimi państwami, jak Polska i Czechosłowacja. Radykali uważali, że czasy sojuszu minęły i że w każdym sojuszu tkwi zarodek wojny. Konserwatyści traktowali państwa Europy Środkowej, które powołał do życia traktat wersalski, pogardliwie: były zbyt małe i zbyt nowe. Jest rzeczą znaną, że żaden z wybitnych brytyjskich mężów stanu nie odwiedził nigdy Warszawy czy Pragi. Ignorancja święta tryumfy. McCallum cytuje audycję B.B.C. w noc noworoczną z r. 1932—1933: podnoszono w niej „z nieprawdopodobną beczelnością i lekkomyślnością (with incredible insolence and frivolity)”, że Polska większą część swego budżetu obraca na cele wojenne. Zirykowany tym reportażem autor zwrócił się do szeregu osób zapytaniem, ile ludności liczy Polska. Przeważnie odpowiadano, że... cztery miliony.

Żaden z rządów brytyjskich nie rozumiał, że Polska, Czechosłowacja i inne mniejsze państwa mogły zapewnić Wielkiej Brytanii cenne bazy i potężne wzmocnienie jej pozycji wojskowej. W szczególności Polska mogła odegrać wielką rolę jako czynnik oporu przeciw agresji Niemiec.

Tymczasem właśnie postanowienia traktatu wersalskiego, dotyczące Polski, były najmocniej atakowane. Już w czerwcu 1919 r. płk. Wedgwood piorunował w Izbie Gmin, że przyłączono do Polski terytoria Rzeszy bez

przeprowadzenia plebiscytów. W lipcu t. r. komandor Kennworthy dowodził, że granicę polsko-niemiecką powinny być wytyczać specjalne komisje mieszane. Stosunek do Polski powojennej znalazł szczególne jaskrawe wyraz w sławnej książce Keynesa „Economic Consequences of the Peace”. Powszechnie uważano, że granice Polski są zbyt rozległe.

McCallum opisuje imaginacyjną rozmowę Anglika, przebywającego na studiach w Rzeszy, z agituującym go Niemcem: „Jest on ekspertem w zakresie wartości kulturalnych, i nie możesz bronić przed nim Polaków i Czechów. Czujesz się zapewne zobowiązany do nieustępowania w pewnych sprawach, w innych musisz ustąpić, gdyż jeśli choćby w jednej sprawie nie ustąpisz, będzie to trwało bez końca. Czy możesz bronić Korytarza? Jesteś wdzięczny, że masz możliwość ugłaskania Cerbera. „Nein,—wołasz, wdzierając się na chwilę śmiało i zwięźle do języka, za którego naukę płacisz. — Nein, das ist zu viel”. Harmonia została przywrócona. Udowodniłeś, że jesteś wspaniałomyślny, on „zyskał ważny punkt, prawdę, że pierwszy, ale to początek. Już nie potrzebuje, by Ribbentrop powiedział mu, że Anglicy nigdy się nie będą bili o Korytarz. Nic dziwnego, że kiedy dnia 3 września o godz. 11 według czasu letniego Anglicy zaczynają o Korytarz się bić, Niemiec czuje się oszukany”.

Mało zresztą Anglików dopuszcza możliwość, że Wielka Brytania wypowie wojnę z powodu pogwałcenia granic Polski: „żadne kanony realizmu i zdrowego rozsądku nie dopuszczają podobnie dziwacznej fantazji”. Ale tak się stało, mimo że zarówno konserwatyści, jak i liberałowie uważali granicę Polski za doskonały przykład absurdalności traktatu wersalskiego. Rzecz prosta, że Wielkiej Brytanii nie chodziło o to, czy szopy graniczne znajdują się o kilkadziesiąt kilometrów na wschód czy na zachód. Chodziło o zasadę, Monachium dowiodło, że pokojowa rewizja granic skończyła się katastrofą.

Rewizja granic Polski...

Current Problems. General Editor: Sir Ernest Barker. 21. Problems of the Peace. By Wilson Harris. Cambridge, University Press, 1944. Str. XII i 116.

Redaktor przyjaznego Polsce (w granicach oficjalnej polityki brytyjskiej), doskonałego tygodnika „Spectator”, William Harris, dokonywał w tej książce przeglądu najważniejszych zagadnień, którymi będzie się musiała zająć przyszła konferencja pokojowa.

Jednym z najistotniejszych jest stosunek Rosji do obszaru na wschód od Niemiec, które uważa ona za swoją „sferę wpływów”. Chodzi przy tym nie tyle o to, czy Rosja rozstrzygnie skomplikowane zagadnienia na tych obszarach sprawiedliwie, ale o sposób, w jaki je rozstrzygnie. Harris uważa los państw bałtyckich za przesadzony; w przyszłej Europie nie będzie zapewne miejsca na tak małe państwa niezależne. Inna sprawa z Rumunią i z Polską. Jak się autorowi wydaje, Rosja nie zagraża niepodległości tych państw, pragnie jedynie przesunąć je bardziej na zachód.

Harris przypomina, że z traktatu brytyjsko-polskiego wynika jasno („the natural implication of the treaty”), że po porażce Niemiec Polska powinna „wejść w posiadanie terytoriów, które miała w r. 1939”. Tak by się stało, gdyby decyzja zależała wyłącznie od Wielkiej Brytanii, Francji i Stanów Zjednoczonych. Stanowisko Rosji jest jednak inne. Od czasu aneksji wschodniej Polski w r. 1939 zajmuje ona stanowisko nieprzejednane, mimo że przedtem wielokrotnie potwierdzała traktat ryski, mimo że w traktacie z Polską z r. 1941 unieważniła umowy z Niemcami, dotyczące

podziału Polski, mimo że Wielka Brytania wyraźnie oświadczyła, że nie uznaje żadnych zmian w granicach Polski od r. 1939. Być może, przyszła konferencja pokojowa podzieli stanowisko Rosji, ale zanim to nastąpi, „jest rzeczą całkowicie niedopuszczalną, by to czy inne państwo, Rosja, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, czy też sama Polska, miało uważać szczególnie sporną kwestię za rozstrzygniętą... na swoją korzyść, w dodatku, jeśli to rozstrzygnięcie sprzeciwia się wyraźnej Karcie Atlantycznej i zaprzeczałoby sprzymierzonym „locus standi” w tej sprawie.

Jeśli chodzi o zachodnie granice, Harris chwali rząd polski za wstrzemięźliwość. Wchłonięcie zbyt wielkiego odsetka ludności niemieckiej może wywołać poważne komplikacje, tym więcej, że element niemiecki będzie zawsze podsygany przez potężną mimo klęski wojennej Rzeszę. Rojenia o ekspansji w kierunku Odry nazywa Harris „szaleństwem” i nie przypuszcza, by jakikolwiek rozsądny Polak myślał o tym na serio. Polsce przypaść powinna natomiast reszta Górnej Śląska i Prusy Wschodnie. Prusy Wschodnie były zawsze kolebką najbardziej napastliwego szowinizmu, są wrogi i niebezpieczną enklawą w polskim terytorium, zagradzają Polsce dostęp do morza. Zagadnienie ludności niemieckiej nie będzie przedstawiało poważniejszych trudności: przeszedł ją wojna, okupacja rosyjska spowoduje masowy exodus, reszta zostanie przesiedlona. Harris przyznaje, że oddanie Prus Wschodnich sprzeciwia się Karcie Atlantycznej, ale w pewnych wypadkach trzeba wybierać mniejsze zło.

„Obrotowa” Karta Atlantyczna

Charters of the Peace. A Commentary on the Atlantic Charter and the Declaration of Moscow, Cairo and Teheran by W. Arnold-Forster. Londyn, Victor Gollancz, 1944. Str. 138.

Autor książki, W. Arnold-Forster, podejmuje beznadziejne zadanie pogodzenia pięknego manifestu ideowego, jakim była Karta Atlantyczna, z brutalną polityką przemocy, jaką uprawiają wielkie mocarstwa. Mamy tu, — gdy mowa o Rosji, — ciągłe powoływanie się na ten czy inny artykuł Karty, a jednocześnie usprawiedliwianie względami praktycznymi tego czy innego zaboru. Tak np. p. Arnold-Forster z naciskiem podnosi, że Wielka Brytania ma obowiązki wobec państw bałtyckich, że kilkakrotnie stwierdziła, iż nie uznaje żadnych zmian granicznych, dokonanych po r. 1939, że zarówno Karta Atlantyczna, jak sojusz brytyjsko-sowiecki zastrzegają się przeciwko nabytkom terytorialnym, i t. d., ale zaraz dodaje, że względy strategiczne nakazują Stalinowi zabezpieczenie tego, tak żywotnego dla Rosji, szlaku, że поближе Ленинграду musi się znajdować w pewnych rękach, że włączenie do Związku Sowieckiego przyczyni się do postępu w państwach bałtyckich i t. d. Mówiąc o roszczeniach rosyjskich do wschodniej Polski, p. Arnold-Forster całkowicie zapomina o Karcie Atlantycznej, godząc się na fakty dokonane, natomiast gdy chodzi o możliwość kompensat dla Polski na zachodzie, Karta Atlantyczna znowu występuje w całej

okazałości. Książka wyszła jeszcze przed oświadczeniem Churchilla z dn. 15 grudnia 1944 r. w sprawie Prus Wschodnich, ale już ogólnikowe oświadczenie premiera brytyjskiego z dn. 22 lutego t. r. spowodowało niepokój autora. Podkreśla on, że z tekstu Karty Atlantycznej nie wynika, iż nie stosuje się ona do narodów nieprzyjacielskich. Jeśli tak, także w stosunku do Niemiec obowiązuje artykuł o „swobodnie wypowiedzianej woli ludności”. A przecież terytoria, które ma otrzymać Polska w drodze kompensaty, są — poza wszelką dyskusję — niemieckie. Odiącenie ich od Rzeszy byłoby nie tylko sprzeczne z Kartą Atlantyczną, ale również niebezpieczne dla samej Polski, nadto stanowiłoby zarzewie nowej wojny. Wprawdzie krzywdy, doznane przez Polaków od Niemców, są bezmierne, ale nie uczyni to ich sprawliwymi w rządzeniu ludnością niemiecką. Wprawdzie Polacy zostali bezlitośnie wysiedleni przez Niemców z Polski zachodniej, przyczem miliony skazano na zagładę, wprawdzie znaczna część Polaków została wysiedlona przez Rosjan z Polski wschodniej, ale nie usprawiedliwia to wyrzucania Niemców z Prus Wschodnich. Słowem, z linią Curzona nie wolno gwałcić prawa narodów.

W świetnej komedii Antoniego Słonimskiego „Rodzina” była mowa o Polsce jako o przedmurzu „obrotowym”: raz od wschodu, drugi raz od zachodu. Zdaje się, że Karta Atlantyczna ma odgrywać podobną rolę.

O „krzywdzie” Niemiec w Wersalu

Diplomacy in Fetters by Sir Victor Wellesley, K.C.M.G., C.B., Late Deputy Under-Secretary of State for Foreign Affairs. Londyn, Hutchinson, 1944. Str. 224.

Sir Victor Wellesley, zastępca brytyjskiego podsekretarza stanu do spraw zagranicznych w latach 1925—1936, ogłosił książkę, która wymownie świadczy, że mit o „dobrych Niemcach” dziś, — w szóstym roku najpotworniejszej z wojen, przez Niemcy wywołanych, — nie wygasł jeszcze w wyobraźni pewnych Anglików. Ten nieuleczalny germanofilizm autora ujawnia się zarówno w kategoriach duchowych, gdy mówi on o pięknie muzyki Bacha i Beethovena, o poezji Goethego i Schillera, o sztuce Holbeina i Dürera, jak w kategoriach politycznych, gdy rozważa postanowienia traktatu Wersalskiego.

Wellesley podnosi, że wprawdzie powrót Alzacji i Lotaryngii do Francji był nieunikniony („foregone conclusion”), ale nie omieszcza zaraz dodać, że oznaczało to poprowadzenie granicy przez terytorium, które od r. 1871 stało się „największym okresem przemysłowym Niemiec”. Skrupuły (misgivings) Wellesley'a występują w całej pełni, kiedy zaczyna roztrząsać powersalskie wschodnie granice Rzeszy.

Jeśli idzie o Korytarz, trudno jest powiedzieć, czyje roszczenia są słuszniejsze. Od setek lat był kością niezgody pomiędzy Słowianami a Teutonami. Chłopi są Słowianami, właściciele ziemscy Teutonami. Polacy posiadali tę dzielnicę przez lat trzysta, Niemcy przez ostatnich lat sto pięćdziesiąt. Z punktu widzenia historycznego roszczenia polskie były oparte na mocniejszym fundamencie, ale argumenty historyczne, dodaje zaraz Wellesley, często są zawadne. Na podstawie argumentów historycznych Anglicy mogliby np. zażądać Calais.

W tego rodzaju wypadkach kryterium rozstrzygające stanowić powinna nie historia, ale współczesne warunki polityczne i gospodarcze. Otóż należy stwierdzić, że wprawdzie Korytarz etnograficznie był w sumie bardziej polski niż niemiecki, gospodarczo stanowił integralną część systemu niemieckiego i prócz tego wiązał Prusy Zachodnie ze Wschodnimi.

W świecie Wieliczek i Witwoldów

The Slater's Waltz. By Elisabeth Kyle, Londyn, Peter Davies, 1944. Str. 64 i 289 i 1 n. l.

Powieść Elisabeth Kyle „The Slater's Waltz” (tytuł, wzięty z popularnego walcu Waldeutla) ukazuje przygody pięciu guwernantek angielskich, rzucenych przez los do różnych części dawnej monarchii austriacko-węgierskiej. Przebywają one wśród różnych narodów, ale prawie zawsze w sferze arystokratycznej. Koniec powieści rozgrywa się na początku obecnej wojny.

Miss Rose Neville styka się z przedstawicielami znakomitej rodziny polskiej na Śląsku. Ojciec hrabiny Wandy Wieliczki położył duże zasługi dla monarchii; dzieci, Roman i Ludmilla, należą już do pokolenia, które nie idzie na lep posad i zaszczytów: walczą ono o wolność Polski. Wprawdzie los właścicieli ziemskich Polaków w Austrii nie jest najgorszy, ale położenie Polaków w zaborze niemieckim i rosyjskim zmusza Polaków w Austrii do rozpoczęcia akcji w celu uzyskania niepodległości. Berlin podjudza Ukraińców i doprowadza do zabójstwa namiestnika Galicji, Potockiego, spokrewnionego z Wieliczkami. Szybko przychodzi odwet: hr. Roman Wieliczka zabija w kawiarni wrocławskiej wysokiego urzędnika pruskiego. Władze niemieckie wydają go Austrii, i grozi mu kara śmierci. Stara hrabina Wieliczka przybywa do Wiednia, by wystąpić o audiencję u Franciszka Józefa i błagać go o łaskę. Niestety, intrzygi kamarylli dworskiej uniemożliwiają zabiegi hrabiny.

W tym czasie Ludmilla, nie bacząc na ciężkie przeżycia, zainteresowała się starym, złotym lustrem, które zobaczyła w oknie antykwarni, i postanawia je nabyć. Ale piękna Polka przyciągnęła uwagę sztywnego oficera austriackiego; pod pretekstem nabywania tegoż lustra również i on zjawia się w sklepie. Spotyka się z ostrą odprawą. Także druga próba ataku — w hallu hotelowym — nie powiodła się; Ludmilla obraża oficera. Po jego odejściu dowiaduje się, że jest to Feliks von Gutenberg, adiutant cesarza, jedyny człowiek, który może wyrobić audiencję. Ludmilla waha się tylko przez chwilę: zabiera lustro i udaje się do pałacu Gutenbergów: Roman potrzebny jest dla sprawy, a Polska jest rzeczą ważniejszą niż „nędzny honor” (paltry honour). Hrabina Wieliczka popiera decyzję córki. Nazajutrz przy śniadaniu Ludmilla zwraca uwagę swoją błądzą i podkrążonymi oczyma, ale von Gutenberg dotrzymuje przyrzeczenia: hrabina uzyskuje audiencję i łaskę dla syna. Nie wiemy, jak się w pierwszej chwili zachowa hrabia Ladisław Harasowski, narzeczony Ludmille, równie jak Roman, przywódcą ruchu niepodległościowego, kiedy dowiedzia się od niej całej prawdy; widocznie jednak przebaczył, bo ślub się odbył. Von Gutenberg przysyła jako prezent słubny owo pamiętne lustro, a hr. Harasowski każe je zawiesić na ścianie na wieczną rzeczność pamiątkę.

Po trzydziestu latach oglądamy Ludmillę w towarzystwie dwóch synów, ułomnego

Ale, dodaje z przekąsem Wellesley, twórcy pokoju musieli dotrzymać przyrzeczeń Polsce, bez względu na to, czy przyczyniali się one do utrwalenia pokoju (whether these (the promises) were conducive to peace or not”).

Choć Prusy Wschodnie oddzielone były od Niemiec także w XVIII w., ale w w. XX „stworzyło to sytuację geograficzną, która napawała goryczą i była nie do zniesienia dla każdego patriotycznego Niemca, podobnie jak obcy korytarz poprzez Anglię od Liverpoolu do Hull musiałby wywołać oburzenie każdego Brytyjczyka”. W interesie pokoju należało znaleźć inne wyjście i zapewnić Polsce dostęp do morza drogą tranzytu, pod gwarancją Ligi Narodów.

Nieoceniony Wellesley podnosi dalej, że podział Śląska uznali Niemcy za jedną z najcięższych z wyrządzonych im krzywd, i pisze: „Terytoria te nigdy nie należały do Polski. Od niepamiętnych czasów były zamieszkiwane przez Niemców, a przedwojenne granice sięgały r. 1136. Z wyjątkiem granicy francusko-hiszpańskiej były to najstarsze granice w Europie”. „Przedsiębiorczość, kapitał i umiejętność niemiecka” uczyniły ze Śląska drugi najważniejszy okręg przemysłowy Rzeszy. Tu Wellesley niemal rozdziera szaty, cytując odpowiedź Sprzymierzonych, u d z i e l o n ą N i e m c o m, że oddanie Śląska Polsce znajduje się w całkowitej zgodzie z punktami Wilsona, ponieważ ludność tamtejsza jest w przeważnej części polska. Interwencja Lloyd George'a spowodowała plebiscyt. Wellesley uważa, że przeprowadzono go nieuczciwie (używa wyrażenia gerrymander od nazwiska słynnego gubernatora stanu Massachusetts, Gerry Ellbridge'a, który w r. 1812 przez umiejętny podział stanu na okręgi wyborcze zapewnił zwycięstwo swojej partii), mimo to Niemcy zdobyli 60% głosów, „fakt, który trudno pogodzić z twierdzeniem Sprzymierzonych”. Nowe granice, boje Wellesley, zniszczyły jedność gospodarczą Śląska i wprowadziły zamieszanie do życia jego mieszkańców.

W sprawie Poznańskiego Wellesley łaskawie nie zgłasza sprzeciwu, ponieważ same Niemcy gotowe były rzec się tej dzielnicy, o ludności bezsprzecznie polskiej.

Witwolda i przystojnego Ladislasa, w pałacu rodowym, w czasie najazdu niemieckiego. Ladislus, oficer kawalerii, po klęsce swego pułku, ukrywał się w pałacu w ubraniu cywilnym. Wpada oddział niemiecki pod dowództwem Gutenbergów. Szukają Ladislasa, któremu grozi kara śmierci. Ludmilla przypomina von Gutenbergowi epizod wiedeński. Von Gutenberg z całą galanterią zaznacza, że do razu sztuka. Wówczas Ludmilla wyznaje, że jeden z młodych ludzi jest jego synem. Nie powie jednak, który. Von Gutenberg staje przed strasliwym dylematem, bo nie może rozstrzelać własnego syna, a rozpoznanie jest niemożliwe, gdyż zarówno Ladislus, jak Witwold podobni są do hrabiny. Na razie rzecz zostaje w zawieszeniu, później von Gutenberg wyłudza sekret od własnego wnuka, a syna Witwolda, małego chłopczyka, Karola. Ladislus idzie na rozstrzelanie, a Witwold ginie z ręki starego sługi Zareffa, który wprawdzie strzela do Niemców, lecz trafia do własnego pana.

Ta nieprawdopodobna bajda mówi sama za siebie i nie trzeba znęcać się nad autorką, która jest ożywiona najlepszymi chęciami i zawiązała tyle tylko, że ma błędne wyobrażenie o polskiej arystokracji (ze Śląska). Dziwne jest, że przy tym wszystkim p. Elisabeth Kyle ujawnia pewną znajomość realiów polskich, że np. zdaje sobie sprawę z roli Wiednia w kwestii ukraińskiej, że umie podchwycić tak znamienne dla polskich antysemitów odruchy przyjaźni dla Żydów, że orientuje się w stosunku Węgrów do Polaków, że wie, kto byli Bem i Janosik, i t. d. i t. d. Potrafi się zdobyć nawet na humor polityczny, ukazując jak dwie Angielki, które wyszły za mąż, jedna za Węgra, druga za Czechę, przejęły się szowinizmem swoich mężów, pierwsza w stosunku do Rumunów, druga w stosunku do Austriaków.

Wprawdzie Huculi nie mieszkają w Tatrach, Tatrzańska Łomnica należy do Słowacji, a wiedeński Hotel Erzherzog Rainer nie jest hotelem arystokratycznym i nie na Ringu, — ale, doprawdy, są to drobiazgi. Pocieszmy się, że w wybitnie polonofilskim utworze dramatycznym z czasów kościuszkowskich „The Fall of Poland” (Londyn 1855) występuje „małżonka” Kołłątaja, która ma na imię... Radziwiłła.

Scrutator.

Książka zbiorowa, wydana staraniem PEN Clubu Polskiego

WIELKA BRYTANIA

KRAJ — USTRÓJ — KULTURA.

Współautorzy:

S. Baliński, M. Chmielewska, H. Gotlib, W. Grabińska, Z. Grabowski, Z. Hołub-Paciewiczowa, H. Judd, J. Kuncewicz, M. Kunciewiczowa, J. Leo McGovern, W. Paton, W. Power, C. Poznański, M. Prozor, H. Tenenbaum, T. Terlecki.

Cena 300 milsów.

OPINIE ANGIELSKIE Z PRASY FRANCUSKIEJ

Angielskie „Who is who”

Pan X. był wczoraj „Jobuzem”, dzisiaj jest wybitnym socjalistą, a jutro będzie może „mało znanym i niepoważnym pismakiem”. Gdy mowa o panu X, to Mackiewicz jest zdania, że... a Słonimski jest zdania, że wręcz przeciwnie. Zapomniałem zaznaczyć, że pan X jest Anglikiem, politykiem lub dziennikarzem. Ale to jest właściwie obojętne. Nie chodzi bowiem tyle o pana X, ile o różnorodność polskich o nim opinii.

Oszadamy ludzi bardzo powierzchownie. Bądź w zależności od ich barwy politycznej (jeśli są barwy odmienne niż nasza, to... „Jobuzy”, lub co najmniej „sympatyczny facet”, ale...), bądź to zależnie od tego, co dzisiaj powiedzieli o Polsce, o kwestii greckiej, o Mikolajczyku, o Sosnkowskim. Zapominamy przy tym naturalnie, że my sami zmieniamy bardzo często nasze zdania o Polsce, o kwestii greckiej, o Mikolajczyku czy o Sosnkowskim. Takie upraszczanie ludzi i problemów, — bo problemy upraszczamy równie lekko — jest szkodliwe, jeśli chodzi o ludzi czy o sprawy polskie, ale tu większość Polaków orientuje się przynajmniej w *Who is who?* i w *What is what?* Gorzej jest, jeśli te samą metodę uproszczeń i sloganów zastosujemy w podejściu do obcych, bo wówczas skrzywiamy nie tylko swój własny obraz spraw i rzeczy, ale według tego skrzywionego obrazu nastawiamy naszą politykę, nasze sympatie i antypatie narodowe.

Jeśli pan X przestanie być dla nas „Jobuzem” lub „przyjacielem” zależnie od tego, co powie o Sosnkowskim, o antysemityzmie, o Rosji i t. p., a stanie się człowiekiem o takich a takich poglądach politycznych, takiej a takiej przynależności partyjnej, takim a takim stanowisku i wpływie, to wówczas nie tylko nasza ocena tego człowieka będzie bardziej obiektywna (co samo w sobie już jest plusem), ale zarówno jego przyjaźń, jak jego niechęć będą mogły być lepiej wyzyskane lub parowane.

Powyższe rozważania skłoniły mnie do tak ryzykownego przedsięwzięcia, jak angielskie *Who is who?*. Jedno zastrzeżenie. Wybór nazwisk i ich uszeregowanie będą subiektywne. Nie mogę, rzecz jasna, pokusić się w ramach *Opinii angielskich* o wyczerpanie kompletnej listy nazwisk i nie mogę dać ich wszystkich naraz.

Na pierwszy dzień dwóch dziennikarzy: Geoffrey Crowther i Kingsley Martin.

Geoffrey Crowther jest obecnie w *Newsach* z powodu artykułu *Noble Negatives*, o którym pisałem w poprzednich *Opiniach*. Crowther jest redaktorem *The Economist*, tygodnika ekonomiczno-politycznego o najwyższym dziś w Anglii ciężarze gatunkowym. Prócz tego jest redaktorem *Transatlantic*, pisma, założonego przeszło rok temu (sygnalizowałem je wówczas czytelnikom w *Drodze*), a poświęconego propagandzie Ameryki w Anglii. Nie jest to naturalnie pismo oficjalne, ani nawet subwencjonowane. Jedyny Crowther, redaktor naczelny, jest Anglikiem. Współpracownicy pisma rekrutują się spośród amerykańskich publicystów i dziennikarzy.

Te dwa stanowiska określają najdokładniej pozycję polityczną i znaczenie Crowthera.

Jest to człowiek młody. Ma dziś lat 38. Jest ekonomistą z wykształcenia, z zapatrywań chyba... liberałem (przez małe „l”). Redaktorem *Economist* został w r. 1939, a w długiej, stuletniej historii tego pisma nie okazał się najgorszym z redaktorów. Pismo jest dzisiaj żywe, interesujące i pełne temperamentu, mimo to jest poważne i wpływowo. Czytelników *Opinii angielskich* nie zdziwi chyba powyższe „mimo to”. Anglicy są na ogół nieufni wobec żywości i temperamentu. *Economist* nie podpisuje swoich artykułów. Odpowiedzialność za pismo i jego politykę ponosi wyłącznie redaktor. Poważna odpowiedzialność jak na 32-letniego mężczyznę.

Podczas wojny zajmował Crowther również szereg stanowisk oficjalnych w *Ministry of Information*, w *Ministry of Supply* i w *Ministry of Production*. Z ramienia tych instytucji jeździł często do Stanów Zjednoczonych. Stąd jego znajomość amerykańskich spraw i kontakty, które umożliwiają mu wydawanie *Transatlantic*.

Obecnie poświęca się wyłącznie pracy dziennikarskiej. Jest jeszcze jedna sfera jego działalności, którą należy wspomnieć, bo umożliwia ona każdemu poznanie i ocenę jego błyskotliwej inteligencji. Geoffrey Crowther jest obok King-Hall'a najlepszym przewodniczącym (*Question Master*) *Brains Trustu*. Ten popularny program radiowy daje przewodniczącemu duże pole do popisu. Nie tylko musi on taktownie i stanowczo kierować debatą, ale powinien każdą serię odpowiedzi lapidarnie streścić. Crowther posiada zarówno takt, jak i stanowczość, a jego zdolność syntezy jest zdumiewająca. Przypominam sobie debatę na temat, czy ewolucja może zastąpić rewolucję? *Brains Trust*, bardzo tego dnia profesorski i konserwatywny (przez małe „k”), odpowiedział jednogłośnie afirmacją. Crowther, reasumując dyskusję, powiedział: „*Brains Trust* woli na ogół ewolucję, ale ośmielał się nieproszone zauważyć, że rewolucja robi to znacznie szybciej”.

Staropolskim zwyczajem (słowo a sprawa Polski) nie chce pominąć ustosunkowania się Crowthera do spraw polskich. *Economist* stale zabiera głos w naszych sprawach. Członkiem redakcji jest m. in. Polak, p. Deutscher. Ostatnio *Economist* podoba się Polakom. Pamiętam jednak czas, gdy się Polakom nie podobal. Faktem jednak jest, że Crowther sprawy polskie zna. Jakakolwiek więc była, jest, czy będzie jego opinia, jest i będzie dobrze poinformowana.

Kingsley Martin jest redaktorem *The New Statesman and Nation*. Jest to tygodnik polityczny o największym dzisiaj prawdopodobnie nakładzie. Rozchodzi się w ilości ponad 50.000 egzemplarzy. Jest to pismo, założone przez Webb'ów, uchodzi ono za organ *Fabian Society*. Nie należy jednak do pism angielskich przykładających miary partyjnej. Są one raczej wyrazem indywidualności i poglądów redaktorów.

Kingsley Martin był podczas poprzedniej wojny *conscientious objector*em, jak wielu entuzjastycznych dziś „wojowników” z Morrisonem, ministrem spraw wewnętrznych, na czele. Po wojnie wykładał w *London School of Economics* jako asystent prof. Harolda Laskiego. Po strajku powszechnym z 1926 r. napisał książkę p. t. *The British Public and the General Strike*. Książka zyskała sobie duże uznanie i Kingsley Martina powołano wówczas na naczelnego publicystę w *Manchester Guardian*ie. Od r. 1931 jest redaktorem *New Statesman and Nation*.

Ma dziś lat 48. Jest szczupły, siwy i bardzo żywy. Mówi szybko, nerwowo, z akcentem, którego nie umiem zidentyfikować. Ma w sobie coś z fanatyzmu angielskich reformatorów. Jest gwałtowny, uparty, inteligentny i nieobiektywny. W czasach Monachium popierał *appeasement*, a po wybuchu wojny stał się głównym adwokatem t. zw. dobrych Niemców. W r. 1941 wydał książkę p. t. *Propaganda's Harvest*, w której tłumaczył, że antyniemiecka propaganda Vansittarta zbiera groźne żniwo reakcji, która na nienawiści najlepiej dojrzewa.

Od tego czasu jednak weszła do wojny Rosja, a rosyjskie sukcesy i socjalistyczne przekonania sprawiły, że Kingsley Martin stał się najgorętszym propagandystą przyjaźni anglo-sowieckiej. I tu powstał pewien dylemat. Kingsley Martin nie umiał dać sobie rady z „vansittartzem” Stalina. Stalinowska stanowczość i nienawiść Niemców psują mu szyki. Nie umiał pogodzić swych pronomieckich przekonań, tak zgrabnie uzasadnianych dotąd socjalizmem, z wiarą w Stalina. Ostatnio pozwilił sobie nawet na opozycję. Ale to jest inna historia.

Kingsley Martin jest wyraźnie antypolski. Tak antypolski, że sprzeciwia się nawet tezie rosyjskiej kompensaty terytorialnej dla Polski na zachodzie. Walczy nawet o Prusy Wschodnie dla Niemców i... o Gdynię. (Tak jest, o Gdynię!).

Kingsley Martin jest groźnym przeciwnikiem i nie wolno go bagatelizować. Nie pomogą tu niepoważne wymyslenia. Kingsley Martin jest oportunistą i jest niezbyt *fair* w polemice, ale to go jako przeciwnika nie dyskwalifikuje. Jest na pastwiaku antypolski, ale jego wpływy i znaczenie, — zwłaszcza wśród angielskiej lewicy, — rosną, a nie maleją.

Rozmaitości radiowe

B.B.C. rozpoczęło nową serię słuchowisk p. t. *Europe and Ourselves*. Anglicy uświadomili sobie naraz, po wiekach izolacjonizmu, swą przynależność do Europy.

W pierwszym słuchowisku mówiono o temacie, czy narody europejskie można sprowadzić do jakiegoś wspólnego mianownika. Mówiła Barbara Ward, święta współpracowniczka *Economista*. Drugie słuchowisko było na temat: Francja, Belgia, Holandia a Wielka Brytania. Następne ma być o krajach śródziemnomorskich i zapowiada się ciekawie w związku z aktualnością tematu, ale także z powodu znanego zainteresowania Anglików dla tego problemu.

Nie tylko radio interesuje się Europą. Problem wisi w powietrzu jak mgła nad Londynem. Jest wszędzie, nuży swą jednostajnością i nie ma na to rady. Piszą o tym gazety, ukazują się książki i broszury. Nawet mój znajomy William, normalnie zainteresowany wyłącznie swą kolekcją znaczków pocztowych, zapytał mnie wczoraj: „Jak myślisz, co będzie z Europą?” „Z Europą?...” zdziwiłem się, bo nie znałem europejskich znaczków pocztowych, a nie domyślałem się politycznych zainteresowań w Williama. „No tak, Grecja, Jugosławia, Polska są już w błocie po uszy. We Włoszech nie dużo lepiej. W Belgii kłopoty. W Holandii kłopoty się zaczynają, jak tylko ją oswobodzimy. A Francja...” Wzruszył ramionami. „Niemiec nie będzie. To co zostanie z Europy? Wygląda na to, że zostaniemy sami”.

Ten lek przed osamotnieniem jest dziwny. Ale jest! *Splendid isolation*, oś dotychczasowej polityki brytyjskiej, urzeczywistnia się w Wielkiej Trójce. A to, że „równowagę sił” diabli wzięli, to Anglicy widzą, ale nie mogą temu zaradzić. W innej pogadance radiowej na analogiczny temat (*The British Commonwealth and the World*) powiedziano: „Jesteśmy dziwnym narodem. Jestem zdumiony faktem, że tak wiele mówi się u nas o bezpieczeństwie społecznym (*social security*), a tak mało o bezpieczeństwie zbiorowym (*world security*)”.

Anglicy zaczynają analizować prawdę, którą objawili im bomby, lecące na Londyn jesienią 1940 r. Koniec *splendid isolation*, koniec wyspiarskiego bezpieczeństwa nareszcie przedarł się do ich świadomości. Może zobaczymy nawet, jak angielska polityka wewnętrzna zacznie się kształtować w zależności od polityki zewnętrznej (dotychczas było na odwrót) i może zaczyną nareszcie Anglicy lepiej rozumieć te dziwne dla nich drogi, jakimi chadzała polityka francuska, polska, belgijska i t. p.

Na marginesie wyżej wspomnianej pogadanki radiowej Barbary Ward następująca uwaga.

W toku pogadanki, aby umysłować słuchaczom rozmaitości języków europejskich, zainscenizowano szereg deklamacji w różnych językach. Po angielsku, po francusku, po grecku, po węgiersku, po czesku, po włosku, po polsku i t. p. W każdym z tych języków deklamowano jakiś prosty, popularny, patriotyczny wierszyk. Polak zadeklamował pierwszą zwrotkę sonetu Mickiewicza „Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu...”

Celem tych deklamacji było pokazanie różnic dźwiękowych między językami. Czy zawiły, pełen onomatopiej sonet był najtrafniejszym wyborem, — wątpię. Ale nie o to mi chodzi. Nie mogę zrozumieć zawiłości mechanizmu polskiego myślenia. Szastamy się słowem „Polska” tak rozrzućnie, że nieraz wygląda to na zakłamanie (przypominam wiersz Kasprzowicza o ojczyźnie w *Księdze Ubogich*), ale wtedy kiedy słowo Polska byłoby naprawdę na miejscu, — bo jest to jedyne słowo, które słuchacze B.B.C. w tym wierszu mogliby zrozumieć, — słowa tego zabrakło.

W jednej z częstych obecnie debat politycznych odbyła się dyskusja między posłami Izby Gmin Emanueleem Shinwellem a Keneth Pickthornem na temat: *Shall controle be kept after the war?*

Shinwell jest socjalistą i członkiem *Labour Party*, Pickthorn jest torysem, debata zapowiadała się więc ciekawie. Tym bardziej, że temat był zasadniczy i dyskutowany, a obaj dyskutanci są wybitnymi członkami swych partii. Tym bardziej przykry był zawód. Debatę, prowadzoną bez przewodniczącego, była chaotyczna i... niepoważna. Po raz pierwszy słyszałem w Anglii klótnię. I to *coram publico*. Dyskutanci byli źle dobrani. Spokojny i refleksyjny Shinwell nie mógł zgodzić się z gwałtownym i impulsywnym Pickthornem.

Rejestruję tę debatę jako wyraz tolerancji angielskiej. Pickthorn może klóść się w radio z Shinwellem i nikomu korona z głowy nie spadnie.

Na gazety francuskie przyszły ciężkie dni. Do niedawna ukazywały się one w objętości dwóch stron normalnego gazetowego formatu. W styczniu z powodu braku papieru przyszło ograniczyć format ten do połowy: gazeta wychodzi teraz jako dwustronnicowy światek wielkości połowy strony *W Drodze*. Trochę miejsca zaoszczędzono przez zmianę czcionek na mniejsze. Ale, rzecz prosta, nawet i przy tych oszczędnościach trudno przy takim *Lebensraumie* o normalny serwis informacyjny, co dopiero mówić o artykułach, nawiązujących sytuację, czy o felietonie. Mimo tych trudności wznowiono jednak z przedwojennych gazet *L'Ordre*. Redaguje ją tegi publicysta, Emil Buré.

Rząd i Résistance

Żaden z artykułów, na jakie przyszło natrafic autorowi tej rubryki, nie oświeciła tak gruntośnie sytuację wewnętrzną-polityczną Francji, jak artykuł Pascala Copeau *L'heure de la réaction*, zamieszczony w *Action* z dn. 29 grudnia.

Artykuł wychodzi z założenia, iż między rządem a Ruchem Oporu istnieje atmosfera wzajemnej nieufności. Ruch Oporu, — *La Résistance*, — jest wyrazicielem polityki przebudowy struktury społecznej Francji. Rząd gen. de Gaulle'a występuje pod hasłem jedności wszystkich Francuzów i dla utrzymania tej jedności gotów jest rewindykację społeczne przesunąć na dalszy plan. Tłumaczy się to w pewnej mierze składem politycznym rządu: „Znajdujemy w tym rządzie radykałów, socjalistów, komunistów, ale przede wszystkim znajdujemy w nim przedstawicieli kierunku katolickiego, zwanego demokratami ludowymi, w liczbie proporcjonalnie wyższej niż ilość deputowanych tej partii w r. 1936”.

Ruch Oporu przechodzi obecnie przez poważny kryzys: „Można znaleźć dwie zasadnicze przyczyny tego kryzysu, które obie wywodzą się z samej struktury Ruchu Oporu, tak jak się on ukonstytuował w r. 1940.

1. Oś polityczna Ruchu Oporu, który twierdzi, że jest i który chce być zgrupowaniem wszystkich Francuzów, znajduje się wyraźnie bardziej na lewo, niż przeciętna opinia kraju.

2. Francuskiemu Ruchowi Oporu brak jednolitości, nie dlatego, że spotykają się w nim ludzie o opiniach różnych czy sprzecznych, ale dlatego, ponieważ jest uformowany z jednej strony z różnych organizacji Oporu, z drugiej — z partii politycznych”.

Stąd też *Résistance* z jednej strony traci kontakt z szerokimi masami ludności, o nastawieniu dużo bardziej konserwatywnym, zwłaszcza z chłopami, z drugiej zaś strony — szereg działaczy *Résistance* przechodzi po prostu do poszczególnych partii.

Główną przyczyną rozdziewku między *Résistance* a rządem tkwi — zdaniem Copeau — w tym, iż w rządzie panuje przekonanie, że Ruch Oporu znajduje się pod dyktandem komunistycznym:

„Jeśli między gen. de Gaulle'a a Ruchem Oporu powstały pewne rozdziewki, jeśli rząd powiódł pewne zarządzenia, które wydają się być skierowane przeciwko *Résistance*, — to dlatego, że w samym łonie Rady Ministrów istnieje opinia, iż partia komunistyczna po cichu kieruje większością organizacji patriotycznych; dlatego także wśród przedstawicieli partii socjalistycznej znajduje się niewielu szczerzych obrońców zasadniczych organizacji kierowniczych *Résistance*”.

Copeau oświadcza — mimo że sympatiami swoimi jest z *Résistance* — skłonny jest uważać, że w zarzutach tych jest część prawdy, że mianowicie wbrew instrukcjom organizacji centralnych *Résistance* szereg działaczy komunistycznych starało się uczynić z Ruchu Oporu ekspozytury swych wpływów partyjnych: „W samej rzeczy, zbyt często byliśmy świadkami różnych prób, robionych dla osiągnięcia sztucznych większości komunistycznych w tym czy innym Komitecie, w którym znamy zbyt wielu członków partii komunistycznej, nie widzących we Frontie Narodowym nic więcej ponad sferę wpływów, którą pożyteczne jest wyzyskiwać jedynie dla dobra partii”.

Dzięki temu — konkluduje autor — *Résistance*, która mogła być potężnym zaczynem odnowy społecznej Francji, kompromituje się w oczach szerokiej mas i traci na znaczeniu politycznym.

Sprawy kolaboracjonistów

Problemem, który najbardziej roznamiętnia francuską opinię publiczną, jest sprawa odpowiedzialności karnej kolaboracjonistów. Prasa lewicowa oskarża rząd, że nie dość energicznie występuje przeciwko kolaboracjonistom, w pierwszym rzędzie zaś, że oszczędza kolaboracjonistów bogatych: przemysłowców i bankierów. Jeśli uprzytomnimy sobie, że spośród tych ludzi ogromna większość w mniejszym lub większym stopniu współpracowała z Niemcami (po prostu przez to, że Niemcy włączyli przemysł francuski w ramy swej gospodarki wojennej), zrozumiemy, że żądanie to jest równoznaczne domaganiu się upaństwowienia wielkiego przemysłu i banków, a więc pójdą przez państwo na zasadnicze reformy społeczne.

Sprawa jest skomplikowana tak względami natury polityczno-gospodarczej (rząd ogłosił co prawda upaństwowienie kopalń, ale może się o-bawiać, że dalsze pójdzie po tej linii utrudniłoby mu uzyskanie kredytów na odbudowę w państwach anglosaskich), jak i względami natury osobistej: wielu bowiem kolaboracjonistów może się wylegitymować sumami pieniężnymi, płaconymi na rzecz *Résistance*, czy pomocą, udzielaną ludziom prześladowanym. Czasem — rzecz prosta — była to prosta asekuracja, ale jak we wszystkich tego

W B.B.C. mogą przemawiać regularnie: Bevan, wróg Churchilla Nr 1, Michael Foot, *enfant terrible* propagandy antytorysowskiej, i Beverley Baxter, konserwatywny odpowiednik Foota. Nikogo to nie gryzie. Nikt nie załamuje rąk. Niko-go się za to nie „wylewa”. I jakoś Anglia tym „nierządem stoi”.

Brains Trust wciąż jeszcze żyje. Stare gwiazdy schodzą z firmamentu, nowe wstępują. Nie słyszałem już od dawną Huxley'a (niestety!) i co-rzadziej słyszałem Joada (*I don't mind!*). Najlepszym nowym nabytkiem jest Barbara Ward, pełna temperamentu i błyskotliwa, która wnosi do wtorkowych wieczorów *Brains Trustu* nutę aktualności, polityczności i — *last but not least* — młodości. Dwa razy brał już udział po powrocie z Ameryki — Bertrand Russel. Kingsley Martin też bywa ostatnio częstym gościem. Ku memu strapieniu, bo sepleni, a sepleniący Anglik to dla mnie chińszczyzna.

H. S. Dominik

rodzaju sprawach ustalenie motywów jest zawsze rzeczą trudną.

Przeciwko szeroko zakrojonej akcji represyjnej wystąpił w *Le Figaro* z 16 stycznia François Mauriac. Spotkał się za to z ostrą repliką w *Action* z 19 stycznia Pascala Copeau.

Jak dotąd wielkie procesy, to były przede wszystkim procesy pisarzy i dziennikarzy. *Figaro* z dnia 29 stycznia b. r. ogłosił sprawozdanie z procesu wybitnego krytyka i redaktora szmatławego — jeszcze sprzed wojny — tygodnika *Je Suis Partout*, Roberta Brasillacha. Brasillach nie wypierał się swoich artykułów. Twierdził, że pisał je z przekonania. Został on skazany na śmierć.

Wreszcie *Carrefour* z 6 stycznia przynosi wywiad z ministrem sprawiedliwości, de Menthonem. Jak informuje de Menthon, po oswobodzeniu Francji aresztowano około 80.000 ludzi, oskarżonych o współpracę z Niemcami. W czasie śledztwa część spośród tych ludzi okazała się niewinna: wypuszczono ich na wolność. Pewnej części uwięzionych nie udowodniono co prawda winy, ale istnieją poważne poszlaki, że mogliby oni współpracować z nieprzyjacielem: zostali oni internowani. Reszcie wytoczono procesy. Przeprowadzenie tych procesów nie jest rzeczą łatwą, z powodu braku odpowiedniej ilości sędziów. Przez pierwsze dwa miesiące funkcjonowały sądy wojenne, obecnie sprawy te zostały oddane kompetencji sędziów przysięgłych. Szczególnie wielką ilość spraw o kolaborację mają na wokandzie trybunały Paryża, Lionu i Lille. Minister przypuszcza, że do czerwca uda się wszystkie te sprawy skończyć. Wywiad ukazał się pod wymownym tytułem: *Nie róbnym z tych zbrodniarzy męczenników*.

Kłeska zimna

Wszystkie korespondencje angielskie z Paryża podkreślają jako szczególnie dokuczliwą w Paryżu kłeskę chłodu, tym bardziej przykry, iż spadała na ludzi niedożywionych. Prasa francuska, jeśli wierzyć przedrukowi z *La Presse de France*, znosi ją raczej w milczeniu. Tylko w *Le Figaro* z 15 stycznia poświęcono jej felieton. Geurmant's'a, bardzo francuski w ujęciu, bo nawiązujący do tradycji literackich, — przypomnienniem Descartes'a, który marzył w Holandii, złych humorów Saint Simona z powodu zimna w Wersalu, z przypomnienniem Vauvenargues'a, który odmroził sobie nogi w czasie oblężenia Pragi. O tym, jak obecne zimno jest dokuczliwe dla Francuzów, najwymowniej przykrywują nas, — znówu bardzo to po francusku, — karykatury. Jest ich na ten temat mnóstwo: oto np. karykatura, przedstawiająca dwie wybrantowane damy w salonie, jedna pokazuje drugiej na tacy kawałek węgla ze słowami: „Prawdziwy antracyt!”, na innej karykaturze widzimy prostytutkę, za którą kroczy rząd starszych jegomościów, trzęsących się z zimna, z kolumnami pał, podniesionymi do góry: „Ona mówi, że ma ogień”, — tłumaczy jeden z nich drugiemu. Albo panuscia prezentuje w salonie gościowi fokę: „Kupiłam ją, gdy zdechł mi biedny Azorek, który nie mógł znieść zimna”. Na innym znów rysunku zamiast tradycyjnego koguta jako godło Francji w czapce frygijskiej wyobrażony jest pingwin i t. d., i t. d.

Sytuacja jest o tyle paradoksalna, że wydobycie węgla w kopalniach francuskich jest dziś na poziomie zupełnie wystarczającym dla zaspokojenia zapotrzebowania Francji: wydobycie to, które w sierpniu wynosiło 40.000 ton dziennie, w styczniu podskoczyło do wysokości 90.000 ton dziennie. Cała tragedia polega na tym, iż transport francuski jest tak rozpaczliwie dezorganizowany, że nie ma jak i przede wszystkim nie ma czym tego węgla przewieźć.

Dowiadujemy się tego z wywiadu, jakiego udzielił redakcji *Volontés* minister produkcji przemysłowej, Lacoste (w numerze z 17 stycznia). Wywiad zdobi rysunek, przedstawiający min. Lacoste'a przy biurku: kolnierz marynarki ministra postawiony jest do góry, szyja fantazyjnie owinięta szalikiem.

Sprawy kulturalne —

Polonica w miesięcznikach

W *Le Figaro* z dn. 20 stycznia André Billy donosi o projektach przeniesienia do Panteonu zwłok Henri Bergsona, Charles'a Péguy (padłego na froncie w tamtej wojnie) i Romain Rollanda. Brane są również pod rozważenie projekty przeniesienia do Panteonu także i Anatole'a France'a.

Brak papieru katastrofalnie wpłynął na francuski ruch wydawniczy. Książek nowych wydaje się minimalną ilość, nie przedrukowuje się klasyków, brak podryczników. W związku z tą sytuacją francuskiego rynku wydawniczego na alarm bije Christian Mègret w *Radio 45* z 20 stycznia. Wydawcom trzeba dla uzupełnienia nakładów około 20.000 ton papieru, którego nie ma. Na biurkach wydawców gromadzą się stopy rękopisów, czekających na druk.

Brak papieru wpłynął też na to, że ciągle jeszcze nie można wznowić wydawania miesięczników. Z jednym tylko wyjątkiem, zrobionym dla miesięcznika poetyckiego *L'Eternelle Revue*, który zaczął ukazywać się na nowo pod redakcją Paula Eluarda. Nie ma jeszcze kontynuacji tych pism, które z honorem potrafiły podczas okupacji reprezentować literaturę francuską poza metropolią, jak przede wszystkim *Fontaine* i dwa bliźniacze miesięczniki *Arche* i *Nef*. Nie wznowiono też wydawania reprezentacyjnego miesięcznika politycznego Gaullistów, *Renaissances*.

Ze starszych numerów tych pism, tych, które doszły do Jerolimy, warto jednak wynotować, choćby i z opóźnieniem, polonica. W szóstym numerze *Renaissances* znajdujemy artykuł G. J. *La question polonaise: Quo Vadis?* Przyczyny słabości Polski przedwrześniowej widzi autor przede wszystkim w tym, iż Polska miała zbyt duży procent mniejszości narodowych, a następnie w nieprzeprowadzeniu reformy rolnej. Naprawdę silna Polska — dowodzi — powstanie dopiero wtedy, kiedy odda Kresy Wschodnie i kiedy oprze swoje granice zachodnie na Odrze. Autor artykułu rosyjskich żądać nie podkreśla; zmiany graniczne doradza tylko z troski o — siłę Polski. Znalaził nawet dla nich piękny termin: „*La France desire que la Pologne s'occidentalise*”.

W trzecim numerze literackiego miesięcznika *Arche*, który założony został w ub. r. w Algierze i ma być kontynuowany w Paryżu, znajdujemy *Sept Chansons* p. Assil Lassaigne, ujmujące swoją bezpośredniością liryczną i prostotą ujęcia (wiersze miejscami stylizowane są na poezję ludową). Jeden z tych wierszy dedykowany jest p. Teresie Łączkowskiej.

www.

Z chwilą, kiedy numer niniejszy idzie na maszynę, otrzymujemy tekst oficjalnego oświadczenia Konferencji Trzech Mocarstw w Jałcie z decyzjami w sprawie Polski. Okładając bliższe omówienie postanowień Konferencji na później, w tej chwili ograniczamy się do scharakteryzowania pokrótce postanowień Konferencji, dotyczących Polski.

W sprawie wschodniej granicy Polski Konferencja stanęła na stanowisku rosyjskim z drobnymi poprawkami na niektórych odcinkach. Z takimi samymi drobnymi zmianami Konferencja przyjęła rosyjski punkt widzenia, jeśli idzie o zasady urzędowania życia politycznego w Polsce. Nowy rząd w Polsce ma powstać na zasadzie zreorganizowania „na szerszych, demokratycznych podstawach” Komitetu Lubelskiego. Rząd ten zostanie ukonstytuowany w ten sposób, że komisja, złożona z p. Mołotowa oraz z ambasadorów brytyjskiego i amerykańskiego w Moskwie, ma przeprowadzić rozmowy w pierwszym rzędzie z członkami Komitetu Lubelskiego („in the first instance with members of the Provisional Government”), a następnie z innymi działaczami politycznymi. Nowy rząd, w ten sposób uformowany, ma przeprowadzić wybory do sejmiku. Fakt, iż jako jedyną gwarancję swobód demokratycznych w Polsce ogłoszono, że ambasadorzy brytyjski i amerykański w Warszawie będą informowali swoje rządy o sytuacji w Polsce, — świadczy o tym, iż rządy mocarstw anglosaskich zrezygnowały

z wszelkich prób zorganizowania na terytorium Polski międzynarodowej kontroli.

W tak postawionym załatwieniu sprawy polskiej jedynym istotnym punktem, w którym zwyciężył brytyjski punkt widzenia, — jest sprawa zachodniej granicy Polski, której ustalenie odłożono do przyszłej Konferencji Pokojowej, uważając, że dla wytyczenia tej linii granicznej potrzebna jest zgoda rządu polskiego.

Konferencja odbyła się w Jałcie, na Krymie. Rozumiemy dobrze symboliczne znaczenie wyboru tego miejsca konferencji. Po pobiciu Napoleona Rosja odgrywała w życiu politycznym kontynentu europejskiego przebiegającą rolę. Wojna Krymska położyła kres jej przewadze. Po niej przyszedł bezmała stuletni okres, w którym rola Rosji w polityce mocarstw, aczkolwiek poważna, nie mogła się równać z tym znaczeniem, jakie Imperium Carów odgrywało w polityce europejskiej przed klęską krymską. Fakt zwołania Konferencji Trzech na Krymie ma oznaczać, że okres ten należy uważać obecnie za zamknięty. Rosjanie odnieśli w ostatnich tygodniach nowe wielkie zwycięstwa. Teraz wystawiają za nie rachunki Sprzymierzonym. Fakt wybrania Krymu na miejsce Konferencji mógł być zadośćuczynieniem tylko prestiżowym. Prawdziwy rachunek zapłacono nami.

13. 2. 1945 r.

ww.

ZNACZEK POCZTOWY POŚWIĘCONY POWSTANIU WARSZAWSKIEMU.



O „W Drodze” w Ameryce

Nowojorski „Nowy Świat” ogłosił w numerze 321 z dn. 17 listopada ub. r. felieton p. t. „Czarne na białym” z życia uchodźstwa polskiego w Palestynie, z którego przytaczamy ustęp, poświęcony „W Drodze”:

„Miarą tego jak silny jest polski ośrodek w Palestynie — są wydawane tam pisma polskie, a w pierwszym rzędzie „W Drodze”, bez kwestii najpoważniejsze i najstaranniej redagowane pismo w języku polskim na świecie”.

Książki nadesłane do Redakcji

Szkolna Biblioteczka na Wschodzie pod redakcją dra L. Kurdybachy, t. 70—71. Zofia Kossak. Krzyżowcy. Tom 1—2. Wydanie trzecie. Jerozolima, M. W. R. i O. P., 1944. Str. 180 i 1 ml. (I) i 218 (II).

Szkolna Biblioteczka na Wschodzie pod redakcją dra L. Kurdybachy, t. 76. Kornel Makuszyński. Bezgrzeszne lata. Jerozolima, M. W. R. i O. P., 1944. Str. 104.

Problèmes Français. Quatrième Série No. 3. Ernst Teilhac. Conditions financières de la paix. Des Réparations à l'Indemnité d'Occupation. Des Dettes Interalliées à la Loi de Prêt et Bail. Bejrut, 1944. Str. 124 i 2 nl.

W najbliższych numerach „W Drodze” ukazać się m. in. następujące artykuły i wiersze:

WŁADYSŁAWA BRONIEWSKIEGO: **BANIA Z POEZJĄ. III**

WŁADYSŁAWA CHOMY: **NIEPOPRAWNI**

MARII DANILEWICZOWEJ: **PIOTR**

ALEKSANDRA JANTY: **BYŁO TAK!
BIERZEMY JEŃCÓW**

IGNACEGO KLESZCZYŃSKIEGO: **WŁOSKA DYKTATURA
PROLETARIATU**

DAWIDA LAZERA: **CHRAPUSTA**

BOHDANA ŁĄCZKOWSKIEGO: **LISTY Z WŁOCH. II**

IRENY PIOTROWSKIEJ: **WALKA WARSZAWY O WOLNOŚĆ
I NIEPODLEGŁOŚĆ W MALARSTWIE
POLSKIM**

KSAWEREGO PRUSZYŃSKIEGO: **WSPOMNIENIA NORMANDZKIE. III**

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze” zaczęły wychodzić polskie przekłady głośnej angielskiej serii broszur politycznych

„OXFORD PAMPHLETS ON WORLD AFFAIRS”

Jako dwa pierwsze numery ukazały się

Nr 1

D. W. BROGAN

Prof. Uniwersytetu w Cambridge

**AMERYKAŃSKA POLITYKA
ZAGRANICZNA**

Nr 2

IVOR THOMAS

Członek Izby Gmin

KIM JEST MUSSOLINI?

Dalsze zeszyty w druku

Cena każdej broszury 50 milsów

Szkolna Biblioteczka na Wschodzie

NAKŁADEM M. W. R. i O. P.

pod redakcją Dra L. Kurdybachy

Tom

1. ALEKSANDER FREDRO: **Zemsta**, oprac. Eugeniusz Kucharski. Str. 142
2. JAN KOCHANOWSKI: **Treny**, oprac. Wiktor Weintraub. Str. 41
3. JULIAN NIEMCEWICZ: **Powrót posła**, oprac. Stanisław Kot. Str. 112
4. JAN KOCHANOWSKI: **Odproważ posłów greckich**, oprac. Wiktor Weintraub. Str. 43
5. ZOFIA KOSSAK: **Niezłomny kraj**, (w wyborze). Str. 221
6. STEFAN ŻEROMSKI: **Wierna rzeka**, Str. 130
7. HENRYK SIENKIEWICZ: **W pustyni i w puszczy**. Str. 326.
8. ELIZA ORZESZKOWA: **Nad Niemnem**, Str. 479
9. MARIA RODZIEWICZOWNA: **Lato leśnych ludzi**. Str. 177
10. ADAM MICKIEWICZ: **Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego**, oprac. Stanisław Pigof. Str. 82
11. MARIA KONOPNICKA: **O krasnoludkach i sierotce Marysi**, Str. 195
12. MELCHIOR WAŃKOWICZ: **Bracia dalecy a bliscy**, (wybór z książki „Na tropach Smełki”) Str. 123
13. ADAM MICKIEWICZ: **Pan Tadeusz**, oprac. Manfred Kridl. Str. XVI i 324
14. ALEKSANDER FREDRO: **Śluby panieńskie**, oprac. Eugeniusz Kucharski. Str. 115
15. STANISŁAW WYSPIAŃSKI: **Wesele**, Str. 182
16. WŁADYSŁAW ORKAN: **W roztokach**, wstęp St. Pigonia. Str. 302
17. JULIUSZ SŁOWACKI: **Balladyna**, oprac. Juliusz Kleiner. Str. 248
18. ANTONI MALCZEWSKI: **Maria**, powieść ukraińska, oprac. Józef Ujejski. Str. 87
19. ALOIZY FELIŃSKI: **Barbara Radziwiłłówna**, oprac. Marian Szyjowski. Str. 97
20. STEFAN ŻEROMSKI: **Popioły**, t. I. Str. 384.
21. STEFAN ŻEROMSKI: **Popioły**, t. II. Str. 416
22. ZYGMUNT KRASIŃSKI: **Nieboska komedia**, oprac. Juliusz Kleiner. Str. 106.
23. STANISŁAW WYSPIAŃSKI: **Warszawianka**, Pieśń z roku 1831. Str. 43
24. MARIA KONOPNICKA: **Książka dla Tadeusza i Zosi**.
25. JULIUSZ SŁOWACKI: **Utwory pomyślniejsze w wyborze**, oprac. ks. Kamil Kantak. Str. 172
26. ADAM MICKIEWICZ: **Poezje**, oprac. Józef Kallenbach. Str. 192.
27. JULIUSZ SŁOWACKI: **Lilla Weneda**, oprac. Juliusz Kleiner. Str. 184.
28. BOLESŁAW PRUS: **(Aleksander Głowacki): Faraon**, t. I. Str. 352
29. BOLESŁAW PRUS: **Faraon**, t. II. Str. 363.
30. JÓZEF I. KRASZEWSKI: **Stara baśń**, Str. 453.
31. DANIEL DEFOE: **Robinson Kruzo**, Str. 103
32. ADAM MICKIEWICZ: **Dziady**, oprac. Józef Kallenbach. Str. 279

(Dalsze tomy w druku).

Tom

33. ZYGMUNT NOWAKOWSKI: **Przygląd Dobrej Nadziei**. Str. 219
34. WŁADYSŁAW ST. REYMONT: **Fermenty**. Str. 442
35. JANUSZ KORCZAK: **Król Maciuś I, wstęp Ady Poznańskiej**. Str. 264
36. JANUSZ KORCZAK: **Król Maciuś na wyspie bezludnej**. Str. 176
37. STANISŁAW WYSPIAŃSKI: **Noc listopadowa**. Str. 165
40. RUDYARD KIPLING: **Stalky i Sp**. Str. 233
41. ZABŁOCKI FRANCISZEK: **Sarmatyzm**, oprac. Henryk Galle. Str. 101
42. ELIZA ORZESZKOWA: **Cham**. Str. 192
43. ZOFIA ROGOSZOWNA: **Dzieci pana majstra**. Str. 120, ilustr. K. Domańska i A. Drwęska.
44. STEFAN ŻEROMSKI: **Ludzie bezdomni**. Str. 323
45. EDMUND AMICIS: **Serce**. Str. 320
46. STANISŁAW WASYLEWSKI: **Lwów**. Str. 170
47. BOLESŁAW PRUS: **Anielka**. Str. 172
48. Baśń polska (w wyborze). Str. 195, ilustr. K. Domańska i A. Drwęska.
49. BOLESŁAW PRUS: **Grzechy dzieciństwa**. Str. 59
50. JULIUSZ SŁOWACKI: **Podróż na Wschód**, oprac. Łukasz Kurdybacha. Str. 240.
51. WŁADYSŁAW ST. REYMONT: **Ziemia obiecana t. I**. Str. 336.
52. WŁADYSŁAW ST. REYMONT: **Ziemia obiecana t. II**. Str. 309.
53. JAN CHRZYSTOSTOM PASEK: **Pamiętniki**, oprac. Jan Czubek. Str. 425.
54. MAURYCY MOCHNACKI: **Wybór pism**, oprac. Stanisław Krzemieński. Str. 56.
55. WINCENTY POL: **Poezje**, oprac. Łukasz Kurdybacha. Str. 296.
56. KORNEL MAKUSZYŃSKI: **Skrzydlaty chłopiec**. Str. 181.
57. JAN KASPROWICZ: **Wybór poezji**, oprac. Lucja Pinczewska. Str. 190.
58. WŁADYSŁAW ST. REYMONT: **Sprawiedliwość**, wstęp A. Grzymały-Siedleckiego. Str. 152.
59. KAZIMIERZ BRODZIŃSKI: **Wybór pism**, oprac. Ignacy Chrzanowski. Str. 86.
60. WŁADYSŁAW LUBICZ-ŁOZIŃSKI: **Óko proroka**. Str. 218.
61. BOLESŁAW LESMAŃ: **Przygody Sindbada Żeglarza**. Str. 244
62. BOLESŁAW PRUS: **Dzieci**. Str. 244.
63. SEWERYN GOSZCZYŃSKI: **Zamek Kaniowski**, oprac. Józef Treliak. Str. 152.
64. ADOLF DYGAŚKINSKI: **Zajac**. Str. 246.
65. BOLESŁAW PRUS: **Emancypantki**, t. I. Str. 260.
66. BOLESŁAW PRUS: **Emancypantki**, t. II. Str. 194.
67. BOLESŁAW PRUS: **Emancypantki**, t. III. Str. 244.
68. BOLESŁAW PRUS: **Emancypantki**, t. IV. (w druku).
69. IGNACY KRASIŃSKI: **Wybór pism**, oprac. Wiktor Weintraub. Str. 320.
70. ZOFIA KOSSAK SZCZUŁKA: **Krzyżowcy**, t. I. Str. 181.
71. ZOFIA KOSSAK SZCZUŁKA: **Krzyżowcy**, t. II. Str. 218.
76. KORNEL MAKUSZYŃSKI: **Bezgrzeszne lata**. Str. 104.

POEZJA KARPACKA

Zbiór wierszy żołnierzy Brygady Strzelców Karpackich

Wiersze:

B. Andrzejewskiego, J. Białatowicza, M. Hemara, A. Jamama, B. Kobrzyńskiego, J. Łaskowskiego, S. Młodoczeńca, J. Nałęcza, K. Nałęcza, T. Sowickiego. — Pieśń Brygady.

Cena: 200 milsów

Wydawnictwo „W DRODZE”, Jerozolima

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze” ukazał się tom wierszy

**Kazimierza Wierzyńskiego
RÓŻA WIATRÓW**

Wydanie drugie
Cena 200 milsów

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.